



PRENUMERATA W WARSZAWIE:
miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60, rocznie rub. 7 kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparem lub za jego miejsce, na dwóch ostatnich stronicach numeru kop. 20, w rubryce „Nadesłane” kop. 75, na marginesie rb. 6.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO KOP. 20.

**PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM.**

Pod redakcją ZOFII SEIDLEROWEJ.

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.

Drobnych rękopisów nie zwraca się.—Tel. Red. 105-22. Tel. adm. 220-86.

W Cesarstwie Austriackiem: We Lwowie w głównej ekspedycyi „Bluszczu” Pasaż Hausmana 9, kwartalnie kor. 5. na prowincyi z przes. poczt. kor. 6.60. W Krakowie u D. E. Friedleina: kwartalnie kor. 5. na prowincyi z przesyłką pocztową kor. 6.60.

W W. Ks. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego”: w Poznaniu kwartalnie 3,60 marek z przesyłką pocztową 4,30 mk.

W Przyszłość.

W obronie prawa moralnego.

„Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe”.

Co krok biją nam na twogę dzwony alarmowe. Napotyamy co chwila objawy patologii życia w postaci groźnych chorób organizmu społeczeństw i jednostek naszej kultury.

W dniach ostatnich przerażające wzrostem procentowym zjawisko samobójstwa zwróciło uwagę prasy, oraz czujnych na groźby chwili stowarzyszeń, dobro społeczne mających na celu. Statystyka wykazuje cyfry wciąż rosnące. 500 z górą wypadków samobójczej ucieczki od życia na rok jeden w życiu naszego miasta, to fakt, z którym policzyć się należy poważnie.

Trujące źródła tej choroby straszliwej leżą głęboko w nurcie tysiącznych zбочeń od norm prawidłowego postępu ku dobru życia, ku szczęściu człowieka.

Przyczyny, wywołujące tu mnóstwo objawów chorobliwych leżą niewątpliwie w ciężkich warunkach naszego życia narodowego. Zepsucie obyczajów, żądza sensacyi, obojętność na losy bliźniego swego, to są wszystko kwiaty kultury, której człowiek, *na duchu nie oświecony*, względem bliźniego swego nie bratem jest, lecz wilkiem. „Kultura wilcza”, to chwast zaniku uczuć chrześcijańskich, to skutek walk zapamiętałych z pierwiastkiem religijnym w duszy ludzkiej. Przeszłość przeciw wielkim prawom Dekalogu, w przykazaniach życia — w dostojności ludzkim, obniża to życie do poziomów walk z gruntu zwierzęcych.

Brak kultury *duchowej* straszliwie się mści. Warunki nie sprzyjające jej rozwojowi, to klę-

ka klęsk kultur człowieczeństwa. Po straszliwej takiej pochyłości ludzie i narody toczą się tylko w przepaść beznadziejną.

Ale instynkt samoobrony nakazuje unikać krawędzi tych otchłani. Tam, gdzie jest *wola* i gdzie jest *charakter* najzgubniejsze warunki nie grożą beznadziejnie strzaskaniem głowy o twarde rafa życia. Ratunek od wpływów rozkładowych *w samym sobie*, to wielka moc. Tam, gdzie tej mocy niema, gdzie uległa ona w walce z życiem pełnym spustoszeń, ratunek słabym nieść powinni silniejsi, bracia starsi w hierarchii duchowego rozwoju.

I tu leży przystań ratunkowa dla ginących. Ramię oparcia dla chwiejnych, słabych i znękanych, bólem przemożonych.

Zatem — powiedzmy to sobie wyraźnie: *Ten ratunek w mocy naszej jest, i być musi* pod groźbą „być albo nie być”. Żywiśmy, albo doszczętnie umarli?

Cyfrą być mamy w łonie ludzkości, czy zrem?

Od gangreny moralnej ginęły potężne narody. Ten rak, toczący i życie współczesne ulegnie tylko w walce z orężem kultury *duchowej*. Dziełem Żywych rozpałać jej święte ogniska, w wiarę w siebie, w swe jutro, w cel swej życiowej drogi. Siew *kultury Braterstwa*, głębokim pługiem Miłości przeorywać, z odłogów życia wyrwać pracowicie potworne chwasty „kultury wilczej”. Oto dzieło postępu — *z ducha* odrodzonych. Nadewszystko przecież *duszę własną* czynić przybytkiem dobra.

Ileż węzłów gordyjskich rozetnie ludzkość w typie *człowieka* udoskonalona?

Byłaby arcy-pouczającą ankieta w obecnej statystyce samobójstw co do *przyczyn* nawalu tej klęski.

Ilu z tych nieszczęśników zeszło ze świata dla tej jedynie *krzywdy*, jaką odnieśli z rąk

bliźniego swego? Ilu popchnęła w tę otchłań potworna dłoń bratobójcza, nawet bezwolnie, choćby jedynie trybem szeroko przyjętym — lekceważenie swych zobowiązań, słowa danego, przyrzeczeń bez zamiaru spełnienia? Do czary bólu, jaką wychylał straceniec, taka jedna kropla wystarcza! Co więcej. W ciężkich warunkach naszego życia, taki nadmiar krzywdy płynie częstokroć, z tego głównie zatrutego źródła: Człowiek człowiekowi — katem, bratobójcą, wilkiem!

Przeto krwawe żniwo się pełni. A giną tu, rzecz straszna, co najlepsi. Ci, co na kły i pazury wilczeszpon krwiożerczych obrony nie mają, co krzykiem duszy do żywego zranionej, próżno wzywali Boga w piersi katów swoich. Ludzie tkliwego serca, subtelności uczuć, zawiedzeni w szlachetności dążeń, zgnieceni młotem siły, miażdżącej prawo.

I tacy to — pokosem pół tysiąca dusz na jeden rok kalendarzowy, ustępują miejsca zastępom katów swoich...

Zaiste. Siew kultury moralnej to pierwszy obowiązek ludzkiego, a zarazem narodowego sumienia ludzi rzetelnego postępu. Ludzi Czynu i dzielnej ręki, nie pustego frazesu!

Siew kultury etycznej to na dziś pierwszy już *obowiązek* kobiety, dorastającej do stanowisk swych równouprawnieniem.

Duch zaś nowego czasu, dokonywujący wielkich zmartwychwstań w Idei, powołuje ją do tego czynu pod znakiem twórczej myśli narodowej własnej¹⁾ Do obrony *prawa moralnego* żywotnym krokiem świat dziś zmierza.

¹⁾ Jednym z najnowszych dowodów tej prawdy jest bezpośredni wpływ dzieł naszych wieszczów i filozofów na system neopragmatyzmu James'a. (W. Lutostawski o James'ie).

Notujmy tu jeden z projektów z łona pewnego towarzystwa ezoterystów¹⁾

Motywy następujące:

Według danych ezoteryzmu wiedzy wieków, cierpienie jest następstwem *wykroczenia przeciw prawu moralnemu*, jako boskiemu *prawu ewolucji*. Nadmiar cierpienia pochodzi od gwałcenia wielkiego *prawa Miłości bliźniego*, jest przestępstwem względem *prawa braterstwa*. Walki klas narodów, czy jednostek, to objawy *choroby moralnej* na gruncie *ewolucji wstecznej*. Rozwojowe prawo postępu, to prawo *solidaryzmu, braterstwa*.

Wykroczenie przeciw temu prawu ewolucji tworzy całe oceany krzywdy ludzkiej. Jest to podłoże groźb cywilizacji.

Cierpienie jest czynnikiem kształcącym tylko do pewnych granic; jego nadmiar zwyrodnia duszę ludzką. Hartowanie woli, charakteru, w warunkach nadmiaru cierpienia, jest nie do osiągnięcia. Dusza ludzka *przemierzona bólem* łamie się, podlega ewolucji wstecznej. Przechodzące siły przetrwania cierpienia łamie linię prawidłowej ewolucji człowieka, ku radości życia, ku szczęściu²⁾.

Cały stek chorób fizycznych i moralnych płynie z tego zatrutego źródła, rozlewną rzeką wszechnędzy życia ludzkiego.

Zapoznanie prawa miłości bliźniego nieublaganie się mści. Nienawiść jest tym mieczem Damoklesa, który zawisa ostrzem obosiecznym nad głowami sprawców moralnego gwałtu.

Fatalne skutki wykroczeń przeciw boskiemu prawu postępu, ujawniają się na planie fizycznym—w postaci chorób i zwyrodnień, na

¹⁾ „Ligue universelle pour la diminution de la souffrance”. D. A. Courmes.

²⁾ W pracy swej, „Od człowieka do ludzkości” filozoficznie ten punkt upodstawiam.

planie moralnym—zaburzeniami groźb cywilizacji.

Z patologią takiego biegu rzeczy wiąże się ściśle drogi umysłowe i uczuciowe człowieczeństwa. Kroczą one po fatalnej linii *odchyleń od norm prawidłowych*.

Na podłożu wynaturzeń, krzewią się chwaścem bujnym, dążenia i namiętności zgubne. Falsz piętrzy się na falszu, zło przemaga nad dobrem, niweczy grunt zdrowia moralnego. Prawda i piękno ustępują miejsca szpetocie i kłamliwości. Kainowe piętno znaczy stosunek człowieka do człowieka; życie ludzkie staje się jednym gorącym piekłem udręczenia.

Wnioski te ściśle wysnuwamy z przesłanek.

Wchodzimy przez nie do podstawy „kultury wilczej” społeczeństw, ogniska jej krzywd bezmiaru.

„Homo homini lupus” *ewolucji wstecznej* tu bierze swój początek.

Księgi Święte ludzkiego rodzaju znają wszystkie tę prawdę pra-wieków. Prawo miłości bliźniego stąd ich „Świętem” *prawem rozwoju w człowieczeństwie*.

W przykazaniu miłości bliźniego tkwi nadto prawo *samoobrony*. Katechizmowy wykaz „grzechów głównych” funduje się na mądrości wieków co do miar postępu człowieczego rodzaju. Te „grzechy” kardynalne, to występki przeciw samemu sobie nadewszystko! Czyny samobójcze...

„Wystarczy rozpowszechnić wszędzie te idee *czynem*, mówi odezwa Ligi do walki z cierpieniem, aby kłaść podstawy nowego życia”.

Organizacja związków typu moralnego staje stąd na czele założeń postępowych.

Członkowie biorą tu na siebie zobowiązania moralne wcielania w życie zasad prawa braterstwa..

Tu leży owocne pole do pracy nad sobą na-

dewszystko, do zwalczania w sobie *wad*, będących przyczyną *krzywd* bliźniego.

Czystość czynów i myśli, czujność sumienia, skrupulatny porachunek z postawą własną względem drugich, to *obowiązek* nasz względem siebie, bliźniego i Boga. „Kwandrans codziennej medytacji”, z ręką na sumieniu własnym, to wysoki czynnik samodoskonalenia się moralnego. Z tego dopiero stanowiska *odpowiedzialności osobistej*, zyskujemy sankcję moralną do wpływu na drugich, w duchu moralnego dobra.

„Należy pilnie baczyć, aby szala pracy stowarzyszonych nie przechylała się na stronę ulepszania, (drugich) z krzywdą *samoulepszenia się*, pisała mi na rok przed swym zgonem Eliza Orzeszkowa, przystępując do dzieła „najważniejszego z najważniejszych”, za jakie poczytywała pracę nad *moralnym* odrodzeniem narodu.

Po linii twardej pracy wewnętrznej *nad sobą*, cel to do osiągnięcia. Nawrót z manowców *dróg cudzych* do świątyń myśli własnej narodowej, droga do tego celu szeroko już wytknięta.

Nauka rzeczy z przeżyć lat ostatnich poucza, czym są dla nas bezdroża postępu.

Oto wpatrzona w zorzę słońc, wzejść nie mających, wołała ku nam i M. Konopnicka:

W imię Ojca i Syna
Znak jest! Znak podan!
Widzialny znak wszędzie.
Pałą się srogie, ogniste obłoki...
Wstawajcie! Czas wam zbierać się na Roki”.

Ale wnet dusza w niej mdleje zwątpieniem...

„Jeszcze i wy mi nie dość starci, zmięci,
By w was kształt nowy kuć i posąg Życia,
Jeszcze w was dawna skorupa się święci
Ledwie spękana od burz gromobicia...”

MACIEJ WIERZBIŃSKI.

Święty Fen.

Powieść z życia ikarystów.

(Dalszy ciąg).

Niebawem głosy ucichły. Nikt mu nie przeszkadzał. Hans i Fen wyszli w pole. Ellen udała się do ulubionych kur, żyjących bez obawy o życie. Przed oknem biblioteki Arturek bawił się z wiecznie zaspalym starym kundlem, aż i on wkrótce znikł gdzieś za wiatrakiem.

Nagle zastukano do drzwi.

Crosston ujrzał przed sobą farmera niskiej postawy z siwym zarostem pod brodą. Przykry wyraz łysnął na jego rysach, lecz powitał przybysza uprzejmie i wprowadził ceremonialnie do biblioteki.

Od niego to kupił Crosston gospodarstwo, na którym powstał związek gminy komunistycznej. Jednakże pan Shirley pozostał nominalnym właścicielem farmy wobec władz. Zrzekł się procen-

tów na przeciąg trzech lat od sumy kilkuset funtów sterlingów, którą gospodarstwo było jeszcze obciążone, i zobowiązał się płacić od niego podatki „królewskie”, komunalne i inne.

Crosston stawiał to za warunek, albowiem komunistom, nie uznającym władzy państwowej ani urzędzeń społecznych, zależało na tem aby nie wchodzić z nimi w żadną styczność i zachować pozory zupełnej niezawisłości. Zresztą nie używali pieniędzy.

Po trzech latach Shirley miał dopisać do swej sumy hipotecznej wyłożone przez ten czas kwoty podatkowe, gdyby komuniści nie chcieli spłacić wszystkiego. Wszelako Crosston liczył na to, że w tym przeciągu czasu znajdzie się jaki majątny adept komunizmu, który oczyści farmę z długu.

Przybysz obejrzał dobrze trzcinowe krzesło, zanim na niem usiadł, poczem wyciągnął ogromną, kraciastą chustkę, otarł pot z czoła i miał ją chwilę w dłoniach, mówiąc coś o pogodzie. Wreszcie począł:

— Dawno wybierałem się do pana... Sprowadza mnie konieczność, poprostu bieda. Wiadomo panu, że mam syna, który kształci się

na duchownego. To kosztuje. Oj, kosztuje! Na domiar wczesne warzywa nie dopisały mi w tym roku. Ogrodnik z hrabstwa Essex nie może konkurować z szczęśliwymi ludźmi z Kent. Tam sadzą pola truskawek, a my na naszych murszatyk ziemniakach... A wszystko coraz droższe. Dlatego chciałem pana prosić o wyłożenie podatków na pierwszego lipca.

— Jaktto! Przecież pan wie, że nie mamy wcale pieniędzy! — zawołał zdumiony Crosston i wielkimi oczyma spojrzął w chudą maskę farmera, ogorzelizną chłopską pokrytą.

— A czy ten dżentelman z Londynu, który tu bawił, nie przywiózł panom pieniędzy?

— Bynajmniej. Nie dotykamy nawet w rozmowie takich rzeczy.

— My pospolici ludzie musimy myśleć o tem. Panowie macie gospodarstwo w rękę, uprawiacie ziemię, sprzątacie, a ja mam płacić podatki?... Dość, że wyrzekłem się procentów od kapitału, który dobre przyniosłby mi odsetki.

— Zapomina pan o naszym układzie!

— Nie. Pamiętam, że zgodziłem się płacić za panów podatki, o ile będę mógł...

Jeszcze niegodni Zmartwychwstania kształtu,
Jeszcze oporni, — jeszcze... raby gwałtu!...
Wypełnione prococtwo Sybilli...

A dziś?—Z żywymi czas nam naprzód
iść, we wszechludzkiem postępie..
Niepokojący, bolesny dylemat.

Żaliśmy „nie dość jeszcze starci zmięci”,
by wykuć z siebie nowe kształty życia?
Prężeniem woli własnej, siłą charakterów?
Uprawy dzielnych rąk czekają wśród pól
naszych te odłogi.

M. Cz. Przewóska.

□□□□□□□□□□

Powieść o fałszywym rublu.

VI.

Szaja Cywert sprowadzał materyały.

Uszer Ufrasz pracował nad matrycą i nad
ołowiem.

Wigman Herszlik pośredniczył, wymie-
niał „towar”.

Szaja Cywert wiedział po czemu cyna; wie-
dział gdzie można dostać tanio ołowiu; wiedział,
jak nająć odpowiednie mieszkanie do spraw
nieprawych: jednym słowem, część materyalna
impresy polegała na nim.

Uszer Ufrasz był to artysta w swoim rodza-
ju. Był jednocześnie grawerem i giserem. Przy-
gotowywał matryce; rzeźbił wizerunek cesars-
kiego i państwowego orła, wraz z odpowiedniemi
napisami; wreszcie odlewał monety i nadawał
ostatecznie ich fałszywości najmożliwej praw-
dziwy wygląd i pozór rzetelnego pieniądza.

Wigman Herszlik brał przygotowaną w ten

sposób gotówkę i obowiązany był puścić ją w
kurs. Psychologia, znajomość ludzkiej natury
i wdech życia były jego specjalnością. Wszyst-
kie te okoliczności, w których człowiek bywa
mniej przytomny, w których uwaga jego jest
czemś oszołomiona, w których duch jest nieo-
becny lub przytępiony Wigman Herszlik znał,
jak przykazania Szulchan Aruchu, czyli żydow-
skiego Pisma Świętego.

Szaja Cywert był materyalistą, metalur-
giem i człowiekiem; na jego imię był wynajęty
lokal; jemu podwyższano komorne; on godził
służbę, która była zresztą nieliczna i składała
się z kucharki cokolwiek ślepej i trochę głuchej
i tak dobranej, aby ciekawością nie grzeszyła.
On, Szaja Cywert, reprezentował „firmę” i był
niby właścicielem sklepu ze starożytnościami.
On, Szaja Cywert, układał w oknie wystawo-
wym różne stare rupiecie, jako to: numizmaty,
bronzy poodłupywane od mebli stylowych; li-
chtarze, świeczniki z bóżnic; jakieś flety zużyte
z pożółkłą kością; jakieś mandoliny, brudne po-
dobne do wielkich zgnitych gruszek; jakieś skrzy-
pce, niby stradivariusowsko stare, a właściwie
tylko wyświechtane i popsute tandetne pudła;
dalej były w oknie lornetki o szklach zaślepi-
łych starością; wachlarze z dziurami i z jakimś ma-
lowidłem z epoki Ludwików i cesarstwa; ko-
persztychy jakieś, obrazki; wreszcie szereg wy-
tłuszczonych i nikomu na nic nie potrzebnych
książek. Wnętrze sklepu zawierało takie same
objekty, jeno w gorszym gatunku. Cały ten śmie-
tnik był szyldem, był parawanem, był pokrywką
starozakonnego fałszerstwa, a nad parawanem
tym miał pieczę Szaja Cywert, gruby, brodaty,
pocziwy starożytnik.

VII.

W głębi mieszkania, w pokoiku, którego
drzwi, pokryte blachą, stanowiły wejście jakby

do kasy ogniotrwałej, siedział i pracował Uszer
Ufrasz.

Był podobny do jakiegoś świętego ana-
chorety.

Twarz blada z odcieniem aż zielonkawym;
czoło duże ocienione zaroślami włosów czarnych,
bujnych jak u zwierząt; oczy ciemne, jak woda
na gruncie bagiennym, ciąglem ślepianiem zmę-
czone, w okularach, ciało długie i chude, we dwo-
je zgięte; kształt rąk o palcach nitkowato cien-
kich, przypominał rozgałęzione korzonki i chwy-
taczki roślinne...

Patrząc na tą postać unieruchomioną przy
robocie, zdawać się mogło, że to jakiś trujący
dziki krzew, który zamiast owoców, rodzi fał-
szywe ruble.

Uszer Ufrasz pensy od współników nie po-
bierał prawie żadnej. Pracował dla idei, za li-
che utrzymanie. Był to prawdziwy artysta, acz-
kolwiek wyrabiał tylko fałszywe ruble.

Doszedł bowiem Uszer Ufrasz do tych już
wyżyn oderwania, o których marzą wszyscy
ideowcy, mianowicie: nie oglądał się ani na owoc
czynu, ani na nagrodę, ani na pochwałę ani
na nagane. Robił swoją rzecz, i wystarczało mu
wewnętrzne poczucie, że spełniał swój obowią-
zek, swoje posłannictwo życiowe: dostarczać
braciom swoim, Cywertowi i Herszlikowi, fał-
szywych monet z możliwie idealną podobizną
cesarskiego oblicza, dwugłowego orła i napisu,
że ta właśnie mieszanina cyny i ołowiu jest: je-
den rubel srebrem.

Jedyną, najwyższą rozkoszą dla Uszera
Ufrasza było to, kiedy po skończonej robocie
oddawał się marzeniom. Marzył o wyższym w
swojej karierze stadyum, marzył o tym miano-
wicie zbiegu szczęśliwych okoliczności, który po-
zwoli mu wyrabiać fałszywe pięciusetrublowe
banknoty.

— Przepraszam! Nie „o ile będę mógł”,
lecz bez zastrzeżenia.

— Gdyby panowie żyli normalnie, gospo-
darowali intensywniej nie byłoby nic łatwiej-
szego, jak płacić podatki.

— Wątpię. Ale o tem nie ma co mówić.
Nasz układ!

— Tak, układ stanął między nami, ale nie
przed notaryuszem...

— Bo nie chcieliśmy go zawierać przed
urzędnikiem. Układ nasz, którego kopię mam
w biurku nie zezwala panu na żądanie od nas
podatku.

— Nie zezwala? Jakto? Nie mając w tej
chwili gotówki, od kogo mam żądać zapłacenia
podatków, jeżeli nie od tych, co siedzą na tej
ziemi?

— Jednakże zobowiązał się pan na trzy
lata...

— Czyż to panowie sami uznają jakie zobo-
wiązania? Względem państwa? Gminy Purleigh?
Szkoły?... Niech pan postara się o te pieniądze
do pierwszego lipca i koniec. Zresztą wychodzi

to na jedno, bo gdybym ja zapłacił podatek,
wzrósłby pański dług u mnie.

Crosston przeczuwał, że majętnemu eks-
porterowi warzyw, dla którego załatwienie tej
sprawy było drobnostką, chodzi o coś więcej—
o wyrugowanie ich z gospodarstwa. Zdjęło go
przerazenie, ale odparł stanowczo:

— Nie pokryję raty podatkowej. Oczekuję,
że pan, jako uczciwy człowiek, zastosuje się
do ugody.

— Nie mogę... — wyjęknął obłudnie ogra-
dnik. — Myślałem, skądby wziąć kilkadziesiąt
funtów, ale trzebaby dać bardzo wysoki pro-
cent. Pieniądz teraz drogi. Nie mogę... Mam
nadzieję, że pan wykrobie skąd kwotę potrze-
bną. W przeciwnym razie będę zmuszonym u-
pomnieć się o procenty zaległe.

Komunista milczał długo. Wreszcie, u-
twierdzony w podejrzeniu, syknął:

— Nie spodziewałem się tego...

— I ja nie spodziewałem się, że bieda przy-
prze mnie tak do muru.

Po chwili skłopotany Crosston wyszedł na
pole po Fena, chcąc zasięgnąć jego rady. Opo-

wiedział mu, z czym przyszedł Shirley, i nieba-
wem powrócił z nim do biblioteki.

Na twarzy Fena malował się głęboki smu-
tek, gdy, powitawszy ogrodnika, ozwał się:

— Słyszę, że pan nie może zapłacić po-
datków?...

Shirley znowu zaczął się skarżyć na cięż-
kie czasy, kłopoty i brak gotówki.

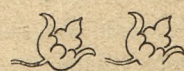
— Całe życie gonil pan za pieniędzmi, a
troska o złoto pana nie opuszcza... Cóż warte
życie, które obraca się wyłącznie w kółku kło-
potów finansowych?... Jeśli pan nie może za-
płacić procentów, to niech pan nie płaci...

Shirley chwycił się za głowę.

— Co pan mówi?! To żarty! — zawołał
i podniósł rwytes.

— Jeśli pan istotnie w takiej potrzebie,
to pomożemy panu, jak się da. Niech pan za-
bierze nasze żniwo, krowy... Ja chętnie poma-
gać panu będę przy wysyłce warzyw lub jak
pan uzna za stosowne...

— Nie! Tego nie przyjąłbym nigdy!



Trochę papieru, trochę farby, trochę cierpliwości, trochę pracy, trochę strachu, trochę szczęścia i człowiek oszukał świat na pięćset fajgli. Co za rozkosz! Ile to będzie z tego gwałtu! ile przekleństw! ile zółci się uleje! ile pisaniny po bankach i urzędach śledczych! ile rozpaczki oszukanych! ile podejrzeń, ile nieufności pomiędzy ludźmi stąd! ile bratobójczych waśni pomiędzy gojów się ponarzuca i narozpala! jak jeden drugiemu nie będzie wierzył! jak będzie jeden czatował na moment dobroci drugiego, aby go wyzyskać, nabrać, oszważyć, podejść!... Co za rozkosz! Co za upojenie!

A skąd to upojenie? Kto mu je dał? Dzięki Bogu nikt. On sam, dzięki Bogu, ma taki talent, on jest taki artysta z bożej łaski, taki wybraniec z wielu, taki pomazaniec Boży, dla którego zrobić pięciusetrubłówkę fałszywą to to samo co splunąć! I on pluje sobie. On sobie siedzi za drzwiami obitemi blachą, jak jaka świętość, on — Uszer Ufrasz — i pluje. A to co on napluje, to zbiera Wigman Herszlik i wymienia na czyste złoto.

Czy to nie rozkosz!

VIII.

Wigman Herszlik wymieniał.

Na pozór rzeczą jest łatwą rubla fałszywego wymienić. Kładzie się go na ladę sklepową i czeka reszty; albo daje się go komuś do ręki i również spokojnie stoi się, aż nam ten ktoś resztę wyda.

Byłoby to rzeczą tak prostą, gdyby ludzi, biorących do ręki fałszywego rubla, jakiś głos wewnętrzny nie ostrzegał i nie mówił im, że ten szarawy krążek, mieniący się rublem, zawiera w sobie jad fałszywu.

Jest rzeczą pewną, że rubel fałszywy ma jakąś specyficzną woń obludy, podstępny i zdrady, że ta woń, którą został nasycony w laboratorium Szaj Cywert i Uszera Ufrasza a której nie neutralizuje bynajmniej swem dotknięciem Wigman Herszlik; że ta woń, podobna do wyziewów antypatycznych nam ludzi, odstręcza i ostrzega.

Tę subtelną zdolność percepcji Wigman Herszlik zna i wie, w jakich stanach jest ona ludziom właściwa.

Człowiek spokojny, uważny, niczem nie skłopotany; człowiek którego ani zbytnia uciecha nie rozbałwania, ani któremu zmartwienie żadne nie odbiera pogody; człowiek, którego mózgu i nerwów nie przeżera alkohol; człowiek, którego brzuch nie ześrodkowuje w sobie całej siły organizmu; człowiek, który nie zbliża się układem istoty swej do pewnych stworzeń chłonnących otworem jamy ustnej wszystko cokolwiek im się nawinie; człowiek przytomny; człowiek nie podległy roztargnieniu; człowiek, który w danym momencie jest wszystek; człowiek, którego świadomość nie błąka się samopas; człowiek czujny i bystry; człowiek, który widzi: — taki człowiek jest dla Herszlika Wigmana postrachem i takiego człowieka Wigman Herszlik z oddali czuje i takiego unika.

Taki człowiek jest dla Wigmana Herszlika trefnym, nieczystym, i z takim człowiekiem się stykać Wigman Herszlik nie lubi.

Takiego człowieka Wigman Herszlik nazywa *par excellence* gojem.

Co znaczy słowo goj?

Odwrotnie czytane to słowo znaczy jog, t. j. joga. A JOG albo JOGA znaczy w indyjskim języku człowieka widzącego i wiedzącego, który brzydzi się fałszem, który oczy ma jasne, żądzami nie zmacone i którego myśl zawsze czuwa.

Wobec takiego człowieka Wigman Herszlik drży i umyka przed nim tak, jak mrok przed światłem, albo jak pasożyt przed czystością.

IX.

Czy zdarzało się wam kiedykolwiek być w mieszkaniu człowieka biednego? Biednego nie przez brak pieniędzy, tylko biednego przez nieobecność cech stanowiących Joga, czyli goja?

Łóżko takiego nie-goja to śmietnik; jego bielizna mogłaby się zwać szarzyzną; jego podłoga — deska gnojowa; jego meble — Pocijów.

Takie mieszkanie i jego mieszkańcy — to najulubieńsza siedziba pluskiew, karaluchów, pcheł i tym podobnych odmian biologicznych, biorących życie i patrzących na świat tylko z jednej strony, a mianowicie uważających go za pewien rodzaj dla siebie żeru, pożytku i nie dających mu nic w zamian.

Krokodyl pożera bydło i ludzi, ale z niego jest piękna skóra na walizy i na portmonetki.

Wilki zjada owce, ale dostarcza światu wilczur i ładnie wygląda, wypchany w muzeum.

Lew pustoszy okolicę z mięsodajnego zwierza, ale jakaż wspaniała z niego kapa na łóżko lub dywan przed łóżkiem!

Tak samo tygrys, lampart, pantera.

I jeszcze jedną ludziom te drapieżniki zapewniają uciechę: rozkoszą jest na nie polować, odwagę ćwiczyć, męstwo, zdrowie.

Kiedy tymczasem jedyną rzecz, jaka daje ludziom za możliwość opijania się ich krwią Wigman Herszlik, Uszer Ufrasz i Szaja Cywert — to odraza, wstręt, choroba i skażenie czystości

Pluskwa najumiłowaniej trzyma się ludzi tak zwanych pobożnych, mających na ubogich swych ścianach dużo świętych obrazków. Te święte obrazki — to siedziba pasorzytów. Za dnia chowają się tam, odbywają schadzki miłosne i sprawują konszachty i zmywy przeciwko ludziom obdarzonym krwią; w nocy wylazi ten naród płaski, fałszywy i nie wonny, aby tę krew z ludzi snem znieruchomionych i nieprzytomnych wytoczyć.

Napróżno się zaspaną ręką człek od tych nieprzyjaciół broni: zgnieciony wróg jeden zastępowany bywa w tej chwili przez dziesiątek innych.

Jedynym środkiem doradczym przeciwko nim jest czystość, jest „jogizm” albo „goizm”.

(DCN)

Jan Lemański.

□□□□□□□□□□

Dr. med. J. BUDZIŃSKA-TYLICKA.

Międzynarodowy Kongres higieny szkolnej w Paryżu.

Stroną zdrowotną w szkołach, pensjach lub jakichbądź zakładach naukowych powinien kierować lekarz — higienista, który całą

swą wiedzę, wszystkie swoje dobre chęci wyteńczyć powinien na wytworzenie dla uczącej się dziatwy jak najlepszych warunków zdrowotnych, starając się wyrównywać braki wynikające, czy to z powodu wadliwych budynków szkolnych, czy systemu nauczania, czy z indywidualnych niedomagań i zbroczeń ucznia. Zadania więc lekarza szkolnego są wielkie i wielkie mogą wydać rezultaty i żaden pedagog — specjalista higienisty zastąpić nie może. Zważywszy na to wszystko — szkoła każda wyrządza dziś ogromną krzywdę uczącej się młodzieży, jeżeli nie posiada stałego lekarza lub lekarki szkolnej. — I międzynarodowy kongres higieny szkolnej w Paryżu zarówno, a może silniej jeszcze jak dwa poprzednie w Norymberdze i w Londynie — szeregiem referatów udawniają wielkie higieniczne znaczenie lekarzy szkolnych: ich oddziaływanie na podniesienie zdrowotności młodzieży, na wdrażanie w nich życia higienicznego — a przez dzieci, po za szkołą, na ich rodziców. Samo przez się rozumie się, że na kongresach higieny szkolnej, — przeważnie dużo mają do powiedzenia lekarze higienisci, choćby z tego tylko powodu, że stosunkowo bardzo mała liczba pedagogów interesuje się postępowaniem i rozwojem higieny; — i dlatego też higiena jako nauka i higiena życia praktycznego tak jeszcze jest mało popularna i mało rozumiana przez kierowników umysłów i dusz dziecięcych.

Bo zresztą któż, kiedy i gdzie uczy higieny przyszłych pedagogów i wdraża w nich niezbędność życia higienicznego? I ten brak higienicznego wykształcenia personelu nauczycielskiego, był podnoszony szeregiem referatów i stawiano wnioski reform w tym kierunku. — Jak bogatą jest dziedzina higieny szkolnej, niech udowodnią tu same tytuły niektórych ciekawych referatów: O zapobieganiu chorób zaraźliwych i ich zwalczaniu w szkole. O zaraźliwych chorobach skórnych w szkole. Powrót dzieci do szkoły po chorobach zaraźliwych. O szkołach na wsi i zamiastem. O koloniach letnich; użycie czasu i wykorzystanie wsi w celach zdrowotnych. O organizacji zbliżenia się szkoły z rodzicami w celach zdrowotnych i wychowawczych. O współpracy nauczycieli i lekarzy szkolnych, i wiele, wiele innych. Zanim przejdę do innego działu higieny szkolnej — poruszę tu jeszcze bardzo ważną sprawę lekarzy szkolnych w żeńskich uczelniach. Nie jest chyba dla nikogo tajemnicą, że nasze średnie zakłady naukowe żeńskie stoją pod względem higienicznym daleko gorzej od zakładów męskich — że te ostatnie coraz częściej zdobywają się na własne budynki, na place i boiska, na dobrze urządzone sale gimnastyczne, — podczas gdy dziewczęta pozbawione są w dalszym ciągu tych niezbędnych reform fizycznego wychowania, na dobitkę tego zakłady męskie coraz bardziej starają się o higieniczną lekarską opiekę stałą, o wytworzenie tej zdrowotnej atmosfery, którą wnosi z sobą lekarz szkolny. Warszawskie zakłady żeńskie tylko w małej liczbie, bo zaledwie 10% posiadają lekarzy szkolnych, a w tej liczbie na sto kilkadziesiąt zakładów żeńskich tylko cztery zdobyły się, powierzyć kierunek fizycznego rozwoju dziewcząt i zdrowotnej opieki nad nimi kobietom-lekarkom. A przecież kobieta-lekarka bez porównania umiejętniej, bez obrażania uczuć wstydlivosti dziewczęcia potrafi jej wytłumaczyć proces dojrzewania płciowego i udzieli niezbęd-

dnych tu wskazówek higienicznych; kobieta-lekarz umiejętniej i odpowiedniej zachowa się w razie stwierdzenia u dziewcząt zbroczeń płciowych; łatwiej zdobędzie ich zaufanie i skuteczniej potrafi zachęcać do życia higienicznego, a w swych wykładach z higieny ogólnej i z higieny kobiety postara się z całą prawdą i prostotą przygotować dorastające dziewczęta do przyszłych obowiązków matki i wychowawczynie zdrowego pokolenia.

Sądzę, że te same pobudki skłoniły Dra Goździckiego w jego referacie o „higienie internatów żeńskich”, do silnego zaznaczenia, że kobiecie-lekarzowi daleko łatwiej odpowiedzieć zadaniu higienisty w uczelniach żeńskich. I nic dziwnego, np: przy zbroczeniach płciowych, a głównie przy samogwałcie — tak nierzadko spotykanym między młodzieżą, — mężczyzna lekarz często stoi bezradnym wobec podraśniętego dziewczęcia — i taka drażliwa wytwarza się sytuacja, a o wpływie umoralniającym nie można nawet myśleć. — Zresztą same badania rozrostu klatki piersiowej, organów wewnętrznych i t. d. — dziewczęcia-podlotka obnażonego a zdrowego, bo uczęszczającego na naukę, wytwarza zupełnie inną atmosferę — niż stosunek lekarza wezwanego choćby do tegoż podlotka, gdy jest ono w łóżku obłożnie chore. — Nietylko zresztą Dr. Goździcki otwarcie wypowiada się za lekarkami szkolnymi — ale to samo słyszałam z ust Dr. Kopczyńskiego i Dr. Wernica, kiedy kwestyę lekarek szkolnych podnosiłam w Warszaw. Tow. higienicznym. Muszą więc mieć oni sami wielkie trudności, — i doskonale sobie zdawać sprawę z dodatnich rezultatów, jakie osiągnąć może lekarka szkolna w bezpośrednim zetknięciu z młodzieżą żeńską, wnikając w potrzeby fizyczne i psychiczne dojrzewających młodocianych organizmów. I dla tego kwestya lekarek szkolnych jest dla mnie tak ważną, bo ważną przypisuję jej rolę w podniesieniu zdrowotności dziewcząt, tych przyszłych matek, obywaterek, przyszłych bojowniczek, społecznic naszego życia narodowego i kulturalnego.

W szeregu referatów dotyczących higieny nauczania uwydatnia się referat Dra Fruhinscholz'a profesora wydziału medycznego w Nancy, który, wykazawszy wielką śmiertelność dzieci a szczególnie niemowląt, domaga się specjalnych wykładów dla dziewcząt, któreby przygotowywały je do przyszłych zadań i obowiązków macierzyńskich. Nowa ta nauka, mająca na celu hodowlę dziecka, nazywa się *puericulture* — (puer — dziecko, culture — hodowla) powinna ona być obowiązkową nauką szkół żeńskich zarówno niższych jak średnich i wyższych, ażeby pokonać mogące stąd powstać trudności czy to ze strony rodziców, czy ciała nauczycielskiego. Dr. F. proponuje robić tymczasową propagandę w tym kierunku w celu popularyzacji tak doniosłej w swych skutkach nauki, która powinna być wykładaną przez lekarzy.

Na ten sam temat przemawia drugi referent M. Broadbent, który mówi: „dziś wśród matek panuje przerażająca nieświadomość higieny dziecka i metod jego wychowania” — dalej: „higienista się pyta czego uczą szkoły i jak przygotowują podraśnięte dziewczęta do ich przyszłych obowiązków macierzyńskich? przeciwnie, jak można najskryciej ukrywa się przed niemi, że mogą lub będą w przyszłości ma-

tkami na odpowiedzialnych stanowiskach w rodzinie”.

Wykłady antialkoholizacyjne w szkole. Wobec wzmagającego się alkoholizmu w całym świecie cywilizowanym — bardzo pożądanym jest ażeby praca abstynencka sięgnęła samych podstaw, to jest dotarła do szkół początkowych, średnich i wyższych. I tej pracy domaga się Dr. Pissary ażeby już dzieciom wykazywać, wyjaśniać wielką szkodliwość alkoholu dla organizmu. Pokazami i przykładami wdrażać w młodzież zasady abstynenckie i wykorzeniać tę zgubną tradycję, że alkohol daje siły i wzmacnia organizm; alkohol zdwaja liczbę śmiertelności i kosztuje samą Francję 3 miliardy fr.; on zagraża rozwojowi rasy. Te przekonujące słowa wywołały uchwałę kongresu: 1) że metodyczne nauczanie antialkoholizacyjne powinno być wprowadzone do szkół 2) żeby zachęcać dzieci do oszczędności przez wprowadzanie książeczek kasowych. 3) wynagradzać i zachęcać nauczycieli do tej pracy abstynenckiej. Na ten sam temat przemawiał bardzo rzeczowo, a zarazem ideowo Szwed Hugo Hagelin. Wiemy chyba wszyscy jak wysoko stoi Szwecya wogóle pod względem etycznym, a i pod względem abstynenckim pierwsze zajmuje miejsce.

Mówił więc przedstawiciel Szwecyi: „my dajemy w szkole dzieciom zasady abstynenckie, bo doskonale rozumiemy straszne skutki alkoholizmu w niszczeniu rasy i jej zwyrodnianiu. Najlepiej przez szkołę niszczyć złe tradycje i urabiać nowe opinie, wszczepiając najlepsze zasady i idee”. W Szwecyi ta praca abstynencka łączy się z wykładami przyrody, fizjologii i higieny; w Belgii jako osobny przedmiot raz na tydzień; w Anglii i Stanach Zjednoczonych Ameryki — nauka antialkoholizacyjna została oficjalnie wprowadzona od 1 stycznia 1909 r. — U nas o czemś podobnym niema mowy... narady ministeryjalne główny nacisk kładą w *jakim języku* są prowadzone wykłady — a co się wyklada — to głupstwo!...

Osobną sekcję tworzyły obrady nad szkołami dla dzieci niedorozwiniętych — lub z upośledzoną inteligencją i zdolnościami. Jedni pedagogicy domagali się, żeby przy niektórych większych zakładach w dużych miastach były klasy dodatkowe dla mało uzdolnionych dzieci, które razem z zdolniejszymi dziećmi albo zatrzymują klasę w ogólnych postępach, lub też sami pozostają w tyle, spędzając bez korzyści czas w szkole. Inni referenci wypowiadali się za specjalnymi w każdym kraju zakładami naukowymi i wychowawczymi, któreby w internatach umiejętnie i pedagogicznie obejmowały cały kierunek nad niedorozwiniętymi dziećmi. Rodzice takich dzieci są zwykle sami obciążeni psychicznie lub nerwowo i mają jak najgorszy wpływ na wychowanie swych nienormalnych dzieci. Zupełnych idiotów do takich szkół przyjmować nie trzeba, jako materiał zupełnie niewdzięczny; lekarz, który tu winien być psychiatrą i specjalistą chorób nerwowych obok innych zalet lekarza szkolnego — otacza opieką i kieruje segregacją tych biednych dzieci, wykluczonych z wielu uciech świata umysłowego i kulturalnego.

Przechodzę do kwestyi *wychowania płciowego*, która jest dziś na porządku dziennym dyskusyi pedagogicznych i chociaż nie jest ona w szczegółach zdecydowana, jednak w zasadzie,

pedagogicy i lekarze szkolni godzą się na jedną ważną kwestyę nie można nietylko ignorować i pozostawiać na los szczęścia i trafu, lecz ująć jaknajprędzej pod kierunek wychowawczy w określonym świadomie kierunku. Na kongresie międzynarodowym higieny szkolnej w Paryżu przemawiali w sprawie wychowania seksualnego lekarze i pedagogicy z Wrocławia, Wiednia, Drezna i Meksyku — co dowodzi, że tak w starym jak i nowym świecie starają się ująć tę sprawę w celu moralnego odrodzenia młodzieży, bo tak jak jest dziś — stanowczo jest źle. Dr. Chotzen z Wrocławia twierdzi, że zarówno ze względów higienicznych jak moralnych, kierunek nad wychowaniem płciowym ma racyę bytu od samego dzieciństwa aż do zawarcia małżeństwa. W celach zdrowotnych i moralnych trzeba się starać o jak najpóźniejsze przejawianie się instynktów płciowych. Gdy one zaczynają się przejawiać trzeba uczyć młodzież hamować się; wykazywać im całą doniosłość higieniczną i moralną czystości płciowej; przekonywać ich o wielkiej odpowiedzialności i strasznych skutkach życia rozwiązłego i o upadku ich godności własnej. Uświadamiać dzieci trzeba w rodzinie i szkole. Chwila uświadamiania uzależnioną jest intelektualnym, psychicznym i fizycznym rozwojem dziecka. W rodzinie przy nadarzających się okazjach (rozwój płciowy, przybycie na świat rodzeństwa); w szkole w niższych klasach przy naukach przyrodniczych w wyższych przy nauce religii czy etyki; a w starszych klasach lekarz szkolny przy wykładach higieny poświęcić powinien specjalny dział higienie seksualnej, wykazując wielką doniosłość zdrowotną i moralną czystości płciowej, aż do zawarcia małżeństwa.

Koniecznym tu jest, kończy Dr. Chotzen — by rodzice i pedagogicy byli w tym kierunku i w tym duchu nietylko uświadomieni i przekonani, ale sami posiadali dostateczne wiadomości fizjologiczne i higieniczne z zagadnień płciowych by mogli współpracować z lekarzami szkolnymi.

W Meksyku inspektor wychowania fizycznego Valazquez Andrade, domagając się ujęcia w ręce pedagogiki wychowania płciowego, zaznacza ujemny wpływ nieodpowiedniej lektury pornograficznej i erotycznej na rozbudzanie przedwcześnie instynktów płciowych, zaleca wszczepiać w starszych chłopcach zasady higieny moralnej, poszanowanie dla kobiety i doniosłość wstrzemięźliwości. — Proponuje, ażeby rozwinąć życie towarzyskie i społeczne w celu uchronienia młodzieży od przebywania w kabaretach, barach i miejscach rozpusty. Dziś tak mało jest stowarzyszeń o czystym etycznym i intelektualnym podkładzie, gdzieby młodzież mogła się stykać z kobietą jak współtowarzyszka pracy fachowej i społecznej. — Ćwiczenia fizyczne, sporty, gry na odkrytem powietrzu nietylko wzmacniają mięśnie, ale kształtują i podnoszą ducha, — nie pozwalają zmysłowym instynktom się rozwijać, a ujście energii znajdują w zdrowych fizycznie rozrywkach i sportach.

Ażeby wychowanie seksualne wydało realne etyczne skutki, niezbędnym jest, żeby i ciało nauczycielskie posiadało nietylko suche wiadomości — ale miało urobione i ustalone etyczne pojęcie o najważniejszych kwestjach związanych z życiem płciowym jak: anatomja, fizyo-

ogja i higiena organów płciowych, a przeważnie o sprawach etyczno-społecznych stąd wynikających jak: małżeństwo, dziedziczność, prostytucja i walka z chorobami wenerycznymi.

Trzeci referat w kwestyi pedagogiki seksualnej Dra Ullmann'a z Wiednia zaznacza słusznie, że ta sprawa jest dziś bardzo ważna i rozwiązanie i zastosowanie jej w szkolnictwie nie powinno być odkładane, — a odpowiednie przygotowanie i moralne życie samego personelu nauczycielskiego jest ważnym warunkiem umoralniania uczniów.

Rzeczywiście najlepsze wychowanie to przykład z góry i ta atmosfera moralna, w której młodzież się wychowuje. Jakże jednak dalecy dziś jesteśmy od tej czystej atmosfery etycznej! Więc tembardziej trzeba złemu przeciwdziałać, — trzeba wpajać w młodzież, że żądze płciowe powinien człowiek opanowywać rozumem i wolą, — bo zawiele zła, zawiele ohydy, zawiele demoralizacji i zguby niesie nam rozkielzana cywilizacja swą literaturą, teatrami, kabaretami i życiem ulicznym dużego miasta.

Dr. med. J. Budzińska-Tylička.

□□□□□□□□

Wspomnienie.

*Drzwi rozwarte naoscież były w naszym domu —
Dłoniom, co je rozwarły, zamknąć zbrakło mocy.
Szereg komnat na przestrzał widniał, jak po nocy
Mętne wspomnienie alej, nieznanych nikomu.*

*Wszystko — w mroku.. I tylko ów pokój ostatni
Z oknem w zaświat — na słońce po pas wбите w
[chmurę,*

*Jarzył się — cały w blasków pętlających matni
I siał pyły słoneczne przez kotar purpury.*

*Tam — w tych ścianach kosmatych od pręgów i
[pasem,*

*Wśród zacieków purpury i wyparów złota,
W słupach światel spylonych — ta nasza pieczęcota
Rozwidniła się niegdyś, jak chmura nad lasem...*

*I, gdy ją wylew słońca grzał skośnym potokiem —
Uczuła radość wstydu, co się wyzybił siebie!*

*Tam się z pyłem słonecznym zmieszała, jak w
[w niebie*

Miesza się pół obłoku z drugim pół-obłokiem...

*Dzisiaj, gdy już zamknięto drzwi naszego domu,
A ja skarzę się jakimś złotowłosym cieniem, —
Czasem ku pustym progom biegnę pokryjomu,
By rozewrzeć drzwi wszystkie na oścież wspo-
[mnieniom!*

*I rozwieram — a sam się usuwam w kąć ciemny,
By stamtąd widzieć światłość w ostatnim pokoju
I z jego wiecznych purpur i wiecznego znoju
Snuć dla reszty mych komnat wyrok potajemny*

*Ściany, stropy i odrzwia i skrętne zawiasy
Wrdzawione w zmiersch, co lada iskrę uwydatni,*

*Czerpią potysk dla pleśni, brzask dla martwej
[krasy*

*Stamtąd i zawsze stamtąd — z komnaty osta-
[tniej!*

*Tam już niema ciał dwojga: niebu w próżnię
[droga!*

*Słupy światel, istnieniu podane ukosem, —
Smer purpury, co z czyimś zetknęła się losem,
Wieczna światłość!.. Kurz złoty!.. Pył słońca w
[twarz Boga!*

Bolesław Leśmian.

□□□□□□□□

J. OKSZA:

ZE WSPOMNIENIĄ MOJEJ MATKI.

Mówiąc o swem dzieciństwie wspomina Selma Lagerlöf o ukochanej babuni, która wnukom precudne opowiadała baśnie, a po każdej dodawała z czarującym uśmiechem: „A to jest taka prawda, jak mnie tu widzicie i jak ja się na was patrzę”.

Baśnie, któremi od najmłodszych lat karmiła nas matka, były żywą prawdą, tchnącą czarem poezji jej gorącego ducha, który w tych poufnych z dziećmi rozmowach szukał dla siebie ujścia i wyrazu.

Były to opowiadania z własnego jej życia, wywołane przed oczy nasze z plastyką tak świetną, z taką namiętnością uczucia i mistrzostwem charakterystyki, że młoda wyobraźnia przeżywała dzieje, minione przed naszym urodzeniem w ten sposób, jakby to były odległe wspomnienia osobistego przeżycia, tylko przepuszczone przez pryzmat inteligencji twórczej, czyniącej z mozaiki faktów, rozmów, wrażeń — spojone w jedną tajemniczą całość dzieła sztuki.

Przepiękny, rozpalający wyobraźnię sen o życiu.

Kiedy się to mogło zacząć — nie pamiętam. Od czasu jak pamięcią sięgam, a nie liczyłam jeszcze wtedy lat sześciu — już znałam cały świat dalekich, lub dawno pomarłych osób, już z luźnych scen odtwarzałam przeszłość z tą intuicyją zbyt wczesnie rozbudzonych dzieci, która daje pogłębiony obraz rzeczywistości, już żyłam życiem mistycznej tęsknoty do tamtych czasów i do ludzi których w młodości kochała moja matka, a których duchowe oblicze znałam lepiej, niż otaczającą mnie rzeczywistość.

Opowiadania matki zapadały w duszę dzieci, tworząc skarbiec tradycji rodzinnej i narodowej.

Z rokiem każdym wzbogacały się te zbiory, nietylko nowymi faktami, ile późniejszym ich zrozumieniem, głębszym ujęciem, w miarę rozwoju młodych umysłów, nadewszystko zaś stopniowym rozszerzaniem horyzontu, polegającym na przechodzeniu, od elementów opisowych do uwag filozoficznych i na wnikanii w życie intelektualne przeszłości.

W lat wiele później, myśląc o tych czasach, nie mogłam odżałować, że rozmów takich w całej barwności ich i nastroju nie utrwaliła matka nasza piórem, że nie zostawiła całokształtu swych pamiętników, któreby mogły dać obraz kultu-

ry duchowej drugiej połowy XIX wieku w naszym społeczeństwie zupełnie pierwszorzędnej miary.

Zostały tylko dwa zeszyty zaczętej zaledwie pracy — pamiętnika rodzinnego, przeznaczonego jedynie dla najbliższych. Wczytując się w nie dostrzegłam jednak, że po opuszczeniu szczegółów co do spraw majątkowych i innych, obchodzących jedynie rodzinę, możnaby z fragmentów tych wybrać niejedną kartę zajmującą dla ogółu, już to dla charakterystyki czasów szeregiem rysów obyczajowych, już też z powodu osób, budzących dziś historyczny interes. Dwa momenty wydały mi się szczególnie godne podkreślenia — tło obyczajowe, wychowania kobiet około 30-go roku, na które to czasy przypada młodość mej prababki, i wpływ wywierany przez Gabryelę wraz z całym kołem entuzjastek na życie dworów wiejskich, co znów stanowi wiośnianą epokę następnej generacji. Pozostawiłam wszystkie zdarzenia, uwagi, nawet drobniagowe szczegóły odnoszące się do pamiętniku do tych właśnie chwil, aby zachować całą żywość charakterystyki i właściwą jej barwę.

Ton wspomnień jest istotnie czysto osobisty, ale to właśnie daje wrażenie szczerości, co dla odmalowania obyczajowej kultury danego czasu, posiada pierwszorzędą wartość.

Prawie każda rodzina polska przechowuje w duszy pamięć jakiejś matrony, która była aniołem opiekuńczym tej rodziny, pocieszycielką jej i opiekunką za życia, a po śmierci świętą, do której wnuki modlą się o wstawienie do Boga.

Typ takiej kobiety mamy wszyscy przed oczami: składa się na niego głęboka i surowa religijność, sprawiedliwość bezwzględna, pracowitość nieustanna, takt, mężstwo niezłomne w znoszeniu przeciwności, roztropność w rządzeniu majątkiem rodzinnym, spokój, powaga i godność w postępowaniu z ludźmi.

W Babce mojej było to wszystko, ale było coś więcej jeszcze: jakaś cecha szczególna do tego typu matrony polskiej dodała jeszcze wdzięk odrębny, jej tylko właściwy.

Zdaje mi się, że główną cechą jej charakteru, piętnem wyraźnie ją znamionującym była miłość ludzi posunięta do najwyższego stopnia, pozwalająca jej chwycić w każdym jego strony dodatnie, te strony podnosić, słabe otaczać wyrozumieniem i nigdy nie wątpić, że wpływ i dobry przykład mogą góry przenosić. A nie był to optymizm bezmyślny, bo mało znałam osób, obdarzonych taką inteligencją w przenikaniu ludzi, w poznawaniu ich charakteru; tylko poprostu wyrozumiałość, płynąca z miłości i najgłębiej pojętego współczucia chrześcijańskiego. Naturalnie przy takim usposobieniu nie było miejsca na ciasnotę pojęć, wszystko zrozumiała, wszystko jej można było powierzyć, najśmielsze marzenia młodości; ona mogła nie sympatyzować z niektórymi wyobrażeniami naszymi, mogła je zganić i sprostować, ale nie było nigdy między nią a młodem pokoleniem muru, przepaści, utworzonej z zasklepienia się w uprzedzeniach.

Do ostatnich lat swego życia czytała dużo, starała się objaśniać o wszystkich prądach nowych, starała się zrozumieć „jak świat w przeobrażeniach swoich postępuje”.

Jednakże rozumiejąc wszystko — nie wszystko lubiła. Lubiła tylko tego ducha, którego wyobrazicielką kobietą jest u nas Hoffmanowa —

w kolei tych wyobrażeń było Babcę najwięcej swojsko i najmilej — lubiła w kobiecie rezygnację, poddanie, cichość, prostotę, pracę, zaparcie siebie, to była sfera jej duszy najwłaściwsza, ukochana, jej ideał — ale rozumiała i tłumaczyła dusze ogniste i niezależne, rozumiała szum wielkich skrzydeł, tylko zawsze w strachu, aby się nie zlamaly, modliła się za nie.

Nigdy nie słyszałam z jej ust bezwzględniego potępienia dla grzechów, dla upadków, nigdy nie miała ostrego słowa, ani szyderstwa; „nie możemy o tem sądzić, jakie drudzy mają pokusy do złego, my którzy mamy wychowanie chrześcijańskie i łaskę bożą — Bóg to tylko w wieczności osądzi — a każdego będzie mierzyć inną miarą”.

Tylko dla odstępców sprawy narodowej była nieubłaganą — i dla Napoleona. Nie mogła mu darować egoizmu, z jakim obudził w Polakach nadzieję, a potem z zimną krwią zgniótł ją i zawiódł — resztki legionów naszych wysłał na San Domingo. Nieraz rozmawialiśmy o tem z sobą, bo ja znów w dzieciennym wieku płonęłam romantyczną, entuzjastyczną czią Napoleona i dziwiło mnie że Babcia nie podziela moich zapałów.

Wychowana w żelaznych obęczach ustroju patryarchalnej rodziny, wydana za mąż na to tylko, aby z pod despotyzmu ojca przejść pod despotyzm męża, wyrobiła w sobie najgłębszą rezygnację, zrobiła ją zasadą swego życia, miała nawet na określenie jej nawet osobny wyraz często przez nią powtarzany: „darmo” — Darmo, to znaczy trudna rada, trzeba wszystko znieść, wszystko przecierpieć, za wszystko Bogu dziękować — a przy dobrej woli wszystko znieść można.

A przy tej rezygnacji tak w stosunku z mężem, jak i w stosunku z ludźmi umiała zachować godność, to jest znieść to tylko, co nie naruszało jej cnoty, jej przekonań, w przeciwnym razie, gdy chodziło o te rzeczy zasadnicze umiała ich bronić z taktem i męstwem niewzruszonym — tak wśród fantastycznych swych wybryków dziadek mój pozwalał zachować jej wpływ zupełny na dzieci i zostawił wyłączny kierunek wychowania córek.

Łagodność i delikatność nie wykluczała w niej siły, nigdy się nie zawahała przed powiedzeniem prawdy, nigdy nie zaniedbała polajac dziecka swego lub wnuczęcia gdy na to zasłużyło, nigdy nie pobrażała sługom, uczyła je, pracowała nad nimi, nakłaniała do dobrego — nigdy przez słabość nie przeszła naokoło obowiązku, nie dotknawszy się go, aby się nie narażać. Łagodnie, spokojnie powiedziała zawsze i każdemu, co uważała, że powiedzieć powinna, słodyczą łagodząc to, co prawda miała ostrego. Była przytem niezmiernie wytworna w ruchach, w obejściu, w słowach, razila ją każda pospolitość — a umiała jednak uniknąć przesady i manieryzmu tak pospolitego w czasach, w których spłynęła jej młodość. (D. c. n)

□□□□□□□□□□

Z literatury.

~~~~~

Maciej Wierzbński. Zakazana muzyka. (Siostra Felicja. Komedia, szmat z życia literackiego) Nowele. Warszawa 1910. Nakładem

Kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa).

Kłęby dymu długą pierzastą szarfą buchnęły i przysłoniły krajobraz smutny: rozległe pola, równiny, które pod groźnym sapaniem maszyny zdawały się wstecz znikać.

A był to krajobraz niby nasz — a nie nasz — swojski, choć zgermanizowany. Cudaczne końcówki, nie pasują do słowiańskich brzmień stacyj, jak do słowiańskich rozlogów nie pasują te budynki z pruskiego muru.

Jechałam do Poznania, oprócz mnie w przedziale nie było nikogo, a jednak nie jechałam sama.

Szczęśliwym, bardzo szczęśliwym, zbiegiem okoliczności, towarzyszyli — pan Andrzej Kromicz, o głowie Antinousa, muzyk-amator, wielki znawca starych sztychów i porcelany, mecenas sztuki, poważny, dystygowany gentleman, którego niktby nie posądził, że jedzie z Paryża do Poznania, aby odświeżyć dawne bardzo wspomnienia, aby w murach klasztornych porozmawiać z kobietą, którą, jako dwudziestoletni chłopiec kochał pierwszą, nieśmiałą i czystą miłością, aby znowu spojrzeć w oczy, które z pod zakonnego kaptura patrzyły na niego, jak żadne potem.

Pan Andrzej wśród cudzoziemców nosił swoją polskość, jak order, a tutaj na tej szarej z emi, którą Prusak przekształca i po swojemu przeszywa, zostawił coś bardzo drogiego ze swej przeszłości, najpiękniejszy poemat swego życia, bogatego w romansowe karty, poemat, który w futerale wspomnień zajmował osobne, honorowe miejsce.

Jedynie w chwilach elegijnego nastroju p. Andrzej dotykał tej karty różowej wtedy korzył się przed nią, jak przed relikwią. I oto teraz, po latach dwudziestu — po tym skoku co za młodu wydaje się tak długim, a na starość tak małym, u wejścia na cmentarzysko, poznaczone grobami i wiankami marzeń powiędłych, zapragnął stanąć znowu na kwietnym kobiercu, z którego odszedł w świat daleki.

Jedzie wraz ze mną i opowiada mi dzieje swej pierwszej miłości. („Siostra Felicja”).

Siostrę Felicję Elżbietankę, a właściwie córkę leśniczego Hanię Dąbrowską poznał, przy łożu swej chorej ciotki i spadkodawczyni. Brzydki strój nie zdołał osłonić śmiałych linii bujnej figury. Kaptur nieprawdopodobnie szpetny, tworzący nad czołem istny dach od deszczu nie przeszkodził mu dojrzeć łagodnego owalu twarzy i dwojga oczu gwiazdzistych, chabrowych. I poczęły się stare jak świat dziwy. Zahaczali o siebie oczyma co chwila, szukali się żrenicami, jak gdyby mieli sobie coś nieskończenie ważnego do powiedzenia, czego mową ludzką nie można wyrazić. Dziewczyna przyjmowała jego względy z wdzięcznością. Czasami porywała ją nieznaną wesołość i serce dygotało w piersi. A tak im było obok siebie dobrze, tak bardzo dobrze, jak by po raz pierwszy wiosna zstąpiła na świat i zagościła przy nich, w szpitalnem zaciszu, jako urągawisko śmierci. Ona nie zdawała sobie sprawy ze swych uczuć, a on — ze swych pożądań zmysłowych. Mówili ze sobą słowami urywanymi, prostymi. A to wielkie słowo, którego on nie śmiał wymówić zawisło nad ich głowami, jakby aureola.

I nie wypowiedział go do końca. Po śmierci bogatej ciotki, chwycił go wir i zaniósł aż do Paryża. Siostra Felicja znikła z ram jego życia, poszła z żółtkami liśćmi wyslaną drogą. Rozdzieliły ich góry jakieś, z których szczytu przed oczyma Andrzeja rozsunęły się tak dalekie a świetne perspektywy, że nie dostrzegał już zakapturzonej postaci kobiecej. Dopiero po pewnym czasie zaczęły nawiedzać go parokszmy tęsknoty i zarysowywały wyraźne kontury zamiarów; ale znów porywał go prąd światowy i budziła się chęć lekkiego życia.

Gdy je wyczerpał do dna, gdy je zmarnował wtedy dopiero tęsknota zapędziła go w przeszłość, do młodości, która nie wraca.. Śliczna Hania Dąbrowska, która nie była dobrze wychowaną, lecz dobrą, wyrastała do ideału. Znużony wielkoświatowiec wyciągał ręce do kobiety, dla której można być dobrym bezkarnie, której można całe serce rzucić pod nogi. Więc jechał do Poznania wraz ze mną. A co go tu czekało? Opowiedział mi to potem. Słuchajcie.

Zobaczył ją. Po latach dwudziestu. Zrazu nie śmiał podnieść oczu. Bał się rozczarowania.

Stała przed nim... z głową odsłoniętą — zdjęła kaptur przed wejściem do rozmównicy klasztornej. Kobieta, prawdziwa kobieta! Pamiętała, że kaptura nie znosi. Trochę przytyła. Twarz jej ściemniała o jeden ton. Zresztą ta sama: te zęby, te usta śliczne, dziewicze, te włosy uczesane gładko, po chłopsku. Ta sama. Bliska! Słuchała ze wzruszeniem, co jej mówił o swem życiu świetnem a smutnem, a wzamian opowiadała mu o sprawach klasztornych, o swojej rodzinie. Przyjmował to z wdzięcznością, gdyż rozumiał, że ona wzięła go do grona swych bliskich.

Zawahał się, coś bronilo mu wnosić niepokój w ciszę pogodnej duszy zakonnej, lecz wezbrał potok uczuć i pragnień samolubnych, więc Kromicz rzekł cichutko:

— „Ja siostrę ogromnie, ogromnie kochałem i teraz jeszcze noszę jej portret w sercu... przystrojony w różę”.

Szkarłat uderzył na twarz zakonnicy. Ostoniła ją rękoma, aby przygarnąć tę falę szczęścia.

A Paryżanin pożerał okiem wzruszonym ten cudny obraz wstydu, szczęścia i upojenia.

— Niech Pana Bóg prowadzi — szepnęła. Wyszedł ze łzami w sercu.

Spotkało go coś niezmiernie dobrego, co „godziło go z karykaturą życia”. Nie był już tak samotnym, bo biło dla niego nieocenione, cudne serce kobiety...

I mnie na drodze do tego Poznania, gdzie rozegrała się sielanka tych dwojga i mnie, dzięki talentowi autora, spotkało coś niezmiernie dobrego.

Postacie p. Kromicza i Hanki Dąbrowskiej, ich proste słowa, ich uczucia zaglądały mi długo do serca i owiewały je tchnieniem młodości.

Nie płoszył ich nawet chrapliwy głos konduktora koszlawiący zniemiecka nasze: Gogoliny, Kętrzyny; bo rozśpiewała się w duszy wiosna, rozkwitły maki polne i chabry a nad nimi — ten wstydlivy rumieniec zakonnicy.

Niechże więc nie literacka ocena, lecz to wzruszenie będzie miarą wartości utworu. I niech mi wolno będzie upomnieć się za „Siostrą Felicją”: należało jej się miejsceoczesne w tej książce: winna była naznaczyć ją swem imie-

niem. Wstawiam się za nią, aby w następnych wydaniach autor powetował jej tę krzywdę lub puścił ją w świat osobno, wzbogacając naszą skarbnicę literacką.

Zresztą „Siostra Felicja” znalazła się w towarzystwie godnem.

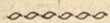
I dramat więzienny („Zakazana muzyka”) autora pięknych nowel „Z przeklętego domu” odznacza się niepospolitym darem wczuwania się w dusze nieszczęśliwe, szlachetniejsze od swych losów. A losy bywają niekiedy — często bardzo — zakłete w postać kobiety złej, przewrotnej, głupiej, niezdolnej odczuć polotów a go towej zawsze je obniżyć. Taka właśnie kobieta z wyżyn artysty strąca muzyka Sadłowskiego do celi więziennej we Wronkach. Myśli, cierpienia snujące się w tym przybytku niedoli, odmalowane są barwami tak szaremi, jak ciężkie istnienia, a jednak żywymi, bo wziętymi z natury.

Na palecie artysty dużo jest farb i odcieni. Obok więziennego dramatu, znajdujemy „K medye” z życia literackiego. Postacie żywe, plastyczne: klamią, deklamują, oszukują, oskubują z pieniędzy i ze złudzeń dramaturga-autora, który wpadł w stado dziennikarskich i literackich kruków.

Bywa i tak, niestety, iecz bywa też inaczej. Wszak nie same kruki i sępy stoją na straży — literatury.

Autor „Siostry Felicji”, wygranej na złotej lutni w chwili pogody ducha i pogodzenia się ze światem, jest z nim zazwyczaj pokłócony. Nieraz czarnymi okularami wzrok swój przysłania. I smutną ma duszę. Dlatego może rozśpiewaną.

*Eugenja Żmijewska.*



### „SFINKS”.

Od trzech lat wychodzi w Warszawie miesięcznik literacki i artystyczny p. t. „Sfinks”, pod redakcją znanego poety i literata Władysława Bukowińskiego. Ponieważ jest to jedyny — w Warszawie wychodzący — poważny, miesięczny organ poświęcony Sztuce we wszystkich jej przejawach, — warto się przyjrzeć bliżej roli, przez „Sfinks” odgrywanej. Jako materiał do oceny służy nam rocznik ostatni — za rok 1910. Na rocznik ten składa się 12 grubych, wytwornie na zewnątrz wyglądających tomów, ozdobionych portretami, rycinami, winiętami — reprodukcjami bardzo pięknie wykonanymi. Przychodzi na myśl, że „Sfinks” jest spadkobiorcą „Chimery”, owego wiekopomnego wydawnictwa Miriama, które było ewenementem w naszym życiu artystycznym, które tak podniosło poziom wymagań, które rozsmakowało nas w rzeczach piękna, które drukowało pierwszorzędnej wartości dzieła, które robiło odkrycia i rewelacje w dziedzinie literatury i sztuki. (Cyprian Norwid i Japońszczyzna).

Ktoś dowcipnie powiedział, że „Sfinks” jest demokratyczną „Chimerą”. Dowcipnie, ale nieprawdziwie. Bo choć „Chimera” odegrała względem „Sfinksa” rolę ofiary-pioniera w kształceniu estetycznym społeczeństwa, śmiercią swoją torując mu drogę, to jednak „Sfinks” obrał sobie inne szlaki. „Chimera” mianowicie była oficjalnym organem warszawskich parnastów, „modernistów” i t. zw. „Młodej Polski”, którą reprezentowali: — Miriam Lange, Przy-

byszewski, Lemański, Miciński i inni. Był to organ bojowy, a przez ten właśnie charakter swój — i nieco stronny, kapliczkowy, wązki.

Zakładając „Sfinks” Bukowiński nikomu nie wypowiedział wojny, lecz z gałązką oliwną zabrał się do karmienia głodnych duchowo rzesz smakolykami wytwornie przyrządzonymi. Sam poeta i doskonały znawca literatury, umie on dobrać menu bardzo wyszukane.

Zobaczmy, co dał on nam w roku 1910. Nie mam zamiaru bynajmniej dawać na tem miejscu spisu rzeczy, chcę tylko zaznaczyć prace wybitniejsze, któreby nam namalowały fizjonomię „Sfinksa”.

Oto na początku samym roku Ignacy Matuszewski wystąpił z dużym artykułem polemicznym p. t. „Weysenhoff a laury Wyspiańskiego”, w którym z właściwą mu — jedyną w swoim rodzaju — erudycją i z ogromnym temperamentem odsądził znakomitego powieściopisarza od praw do krytyki, dowiódłszy mu, że Wyspiańskiego ani rozumie, ani czuje, a w tych warunkach głośnie w swoim czasie artykuły Weysenhoffa w Tygodniku, pomniejszające olbrzyma były zgoła niepotrzebne i błędne. Wyrażna ta praca Matuszewskiego wskazuje, że „Sfinks” stoi na gruncie literatury ideałów narodowych.

To samo stanowisko „Sfinksa” wyziera z artykułów redaktora, który zamieszcza stale w „Sfinksie” krytyki teatralne, a które charakteryzuje powaga i przedmiotowość oraz brak złośliwości, co — niestety tak często spotkać można u krytyków warszawskich. A przecież wylewanie żółci na głowy autorów — szczególnie polskich — nie licuje ani z godnością zadań krytyka, ani z przedmiotem samej krytyki.

Ten sam duch pojmowania sztuki, jako najistotniejszego przejawu indywidualności rasowej narodu — wieje z kilku innych prac, zamieszczonych na łamach „Sfinksa”. Spotykamy tu piękne studium Ant. Gawińskiego o Wawrzeńskim jako malarzu (jest on również archeologiem). Wawrzeński zajmuje zupełnie odrębne stanowisko w naszej plastyce, ale obok Malczewskiego i Chełmońskiego — dwóch wielkich syntetyków duszy polskiej we współczesnym malarstwie — Wawrzeński jest jednym z bardzo nielicznych malarzy, wyraźnie poszukujących źródeł dla stwarzania malarstwa polskiego, nie z praw do polskości, osób, lecz z istoty samej ich dzieł.

Nie mniej wyraźnem stanowiskiem w prądzie wyżej zaznaczonem jest tu praca Feliksa Jabłczyńskiego o Polonezach Chopina — praca, dająca dużo oryginalnego oświetlenia arcydzieł najbardziej narodowego z polskich geniuszów.

„Sfinks” czerpie materiały do zeszytów swych nie tylko w pracach z dziedziny sztuk pięknych i estetyki. Filozofia znajduje tu również gościnę. Dr. Adam Zieleńczyk mianowicie drukował w „Sfinksie” studium o drogach i bezdrożach filozofii polskiej. Cała historia filozofii w Polsce od Witela, o którym już Kepler pisał i Petrycego, tłumacza Arystotelesa, od Kopernika, po przez Libelta, Kremera, Trentowskiego, Cieszkowskiego, Hoene-Wrońskiego aż do naszych czasów — miała jeden szczególnie ciekawy rys. Oto zbliżała ona zawsze abstrakcyjność filozofii do życia, do zagadnień ziem, do historii, do losów narodu, do nauk po-

szczególnych. Jeżeli się nie rozwinęła, to tylko dla tego, że wiek 17-ty i 18-ty był epoką panowania w Polsce jezuitów i kleru, którzy nie dopuszczali myśli wolnej. Tem życiowem pojmowaniem zadań filozofii tłumaczy się, dlaczego w Polsce tak silnie się odbił wpływ Hegla, tak że cały nasz prąd filozoficzny pierwszej połowy 19-go wieku był właściwie spolszczonym Hegelianizmem. Nic dziwnego: nauka Hegla o logice jako przejawie bóstwa stosowana być mogła do nauki o prawdziwości posłannictwa i meczeństwa Polski, jak stosowaną była do ulogicznienia rządu pruskiego (wszystko — co jest — jest logiczne. Przyczyna — skutek). Ale co najbardziej jest godne zaznaczenia, to ten fakt, że filozofia polska jest właściwym prekursorem panującego dziś w filozofii kierunku pragmatyzmu, który — ściśle rzecz biorąc, jest właściwie metodą filozofii, a polega właśnie na tem, że — zerwawszy z metafizyką, jako z kierunkiem myśli, nie mającym już dziś ostatecznie żadnych widoków powodzenia w rozwiązaniu zagadki bytu, — rozbił on filozofię jako mgławicę myśli, na szereg filozofii poszczególnych, będących naukami nauk i życia.

Oto „Sfinks” — w teorii sztuki i myśli ludzkiej. Dodać jeszcze tylko należy, że będąc aktualnym, poświęcił numer specjalny pamięci Konopnickiej i Orzeszkowej.

W praktyce literatury — jeżeli się tak można wyrazić, „Sfinks” drukował parę pierwszorzędnej wartości powieści jak: „Przez ścianę” Daniłowskiego i „Jak liść jesienny” Sieroszewskiego. O tej drugiej powieści, która weszła w skład książki „Z fali na falę” — pisałem w swoim czasie w „Bluszczu”, referując tę książkę.

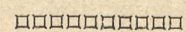
W dziale poezji — Sfinks zaznaczył rok ubiegły konkursem na poemat. Plon konkursowy („Tęsknota hetmana” J. Marcinowskiej i inne) drukowany był w całości nagrodzonej. Drukował również „Sfinks” bardzo wiele drobnych utworów lirycznych, zbyt może nieraz pobłażliwie przyjmowanych.

Z oceny tych wytycznych prac, drukowanych w „Sfinksie”, widzimy, że miesięcznik ten stoi na zgoła odmiennych od „Chimery” stanowisku, że bardziej zbliżony jest do życia i do ideałów narodowych.

Lecz zadaniem takiego pisma jest nie tylko iść biernie za prądem. „Sfinks” winien wywiesić wyraźnie flagę zbliżenia ran, sztandar entuzjazmu i wiary w ideał narodowy przeciwstawić chylącej się do upadku i przemijającej szczęśliwie literaturze marazmu i rozpacz, a w ten sposób dać najmłodszemu pokoleniu hasło odrodzenia i zwycięstwa.

Znając redaktora — wierzymy, że tą drogą „Sfinks” pójdzie dalej.

*Gustaw Olechowski.*



## Z żałobnej karty.



**Ś. p. Mieczysław Brzeziński.**

Jeszcze niedawno żywy i energiczny, niezmordowany działacz, gorliwy i poświęcenia pełen syn ojczyznanego kraju — dziś już tylko



wspomnienie lotne, cień nieuchwytny lub może już nawet garść popiołu... Mieczysław Brzeziński nie żyje...

Śmierć porwała go ze świata nagle prawie, ale nie niespodziewanie: od kilku już tygodni czyhała uparcie na to życie, rozkwitające dopiero w całej pełni sił, potrzebne dla drugich dla dobra sprawy, którą zmarły ukochał nade wszystko... Brzeziński przeżył z nami zaledwie lat 52 — okres czasu bardzo długi i bardzo krótki zarazem — długi szeregiem dokonanych prac w ciągu trzydziestopięcioletniej działalności, krótki — bo przeminął, jak sen, zbiegł, jak jedna chwila...

Literat, nauczyciel, przyrodnik, redaktor „Zorzy” wskrzeszonej od niedawna, niestrudzony pracownik na niwie literatury popularnej, na polu oświaty ludowej, jeden z tych niewielu, co szli w tłum, z kagańcem w mrok, mimo ciągle usiłowania zagaszenia nikłego światła, z mową płomienną na ustach, które próżno starano się zmusić do milczenia...

Wierny był sprawie, którą ukochał — i walczył za nią, jak mógł i jak umiał...

Może nie zawsze i nie wszyscy mogli się na jego czasem zbyt krańcowe poglądy zgodzić, ale ludzie wszystkich obozów przyznawali mu zawsze jedno, że był to ideolog bez skazy, człowiek dobrej woli i niepospolitego umysłu.

Urodzony w 1858 r. ś. p. Mieczysław Brzeziński wcześniej poszedł w lud na pracę ofiarną; po ukończeniu szkół oraz wydziału przyrodniczego, kilkakrotnie z powodu zatargów z władzami był więziony i musiał wyjeżdżać z kraju; około r. 1885 był jednym z filarów dawnej „Zorzy” redagowanej przez M. M. Malinowskiego, a nabytej przez Warszawskie Kółko Oświaty Ludowej od Józefa Grajnera; następnie wydał, bądź pod własnym nazwiskiem, bądź też pod pseudonimem Wiktora Olszewskiego mnóstwo książeczek dla ludu, przeznaczonych, a popularyzujących różne gałęzie wiedzy.

Talent popularyzatorski rzadki sprawiał to, że dziełka Brzezińskiego spełniały swoją powinność i osiągały cel zamierzony: oświecały lud, uczyły go myśleć, zachęcały do zdobywania wiedzy.

Po zgonie ś. p. Konrada Prószyńskiego (Promyka) był ś. p. Brzeziński filarem partii, pracującej nad podniesieniem poziomu oświatowego mas w duchu ściśle chrześcijańskim i narodowym i prowadził od paru lat wskrzeszone czasopismo dla ludu „Zorza”, w którym pisał dużo, przeważnie artykułów z zakresu nauk przyrodniczych.

Publicystą-dziennikarzem we właściwym znaczeniu tego wyrazu ś. p. Mieczysław Brzeziński nie był nigdy; był na to zbyt szczerym, nie liczącym się z niczem, dawał się nieraz unosić temperamentowi pisarskiemu może nawet za daleko; w literaturze pozostanie jednak, jako jeden z tych, co stworzyli u nas piśmiennictwo ludowe, jako autor wybitnych w tym kierunku prac, że wymienimy tylko: „Rośliny, zwierzęta i ludzie na kuli ziemskiej”, „O powietrzu”, „Pogadanki o wnętrzu ziemi”, „Turcy, ich religia i obyczaje” i wiele innych.

Odmienny w zapatrywaniu od innych wybitnych działaczy sprawy ludowej; jak niezapomniany ś. p. Piryński-Adamowicz, jak obecny redaktor „Zarania” Milgaj-Malinowski, jak głośny w całej Polsce Promyk — miał ś. p.

Brzeziński jedno z nimi wszystkimi wspólne: pracowitość niezmierną, gorące uczucie dla ziemi rodzinnej i dbałość o kulturę i oświatę ludu...

Dlatego wszyscy — i przyjaciele i przeciwnicy nad grobem jego staną smutni, pełni bolesnej zadumy o tem życiu, przerwaniem zbyt nagle...

Na trumnę Mieczysława Brzezińskiego wraz z szarą grudką ziemi tej, po której nakazywał „z głową chodzić” oraczów ciżbie, padła niejedna łza szczerego, wielkiego żalu...

Tad. K — c.

### Ś. p. ks. Ludwik Jażdżewski.

Wybitny parlamentarzysta, prezes Koła Polskiego w sejmie pruskim, niestrudzony szermierz w walce o język i naukę, ś. p. ks. dr. Ludwik Jażdżewski padł na stanowisku, jak żołnierz, w dn. 23 Stycznia, w Berlinie, w sali sejmowej.

Zgon jego nagły, spowodowany aneurysmem serca, wywołał żal powszechny, czigodny starzec bowiem (liczył lat 73) umiał zjednać sobie szacunek i poważanie nawet tych, przeciwko którym występował.

Ś. p. ks. Jażdżewski urodził się w znanej wielkopolskiej rodzinie 10 lutego 1838 r. w Poznaniu.

Po ukończeniu gimnazjum Maryi Magdaleny kształcił się w seminarium poznańskim i gnieźnieńskim, a w 1861 r. doktoryzował się w Monachium.

Był następnie wikaryuszem i prefektem szkół w Krotoszynie i Poznaniu, profesorem akademii duchownej i seminarium w Warszawie, misionarzem apostolskim w Londynie, a po powrocie do kraju — proboszczem w Zdunach i w Środzie. Mówca nieustraszony, polityk mądry, badawczy, wytrawny, a w potrzebie przebiegły, nieźrównanej pracowitości, przeciwnik Bismarcka, Puttkamera, Falka i Gosslera, w których miał zawziętych nieprzyjaciół, musiał ś. p. ks. Jażdżewski zachować się z godnością na swoim stanowisku posła, nieprzyjaznego wprawdzie dla rządu pruskiego, ale idącego w kierunku ugodowym, trzymającego się ściśle obranej drogi pracy pozytywnej, celowej, krasomówstwa, obliczonego nie na efekt, lecz w celu uzyskania i wywalczenia lepszej doli uciśnionej szkole, kościołowi, ludności...

Wybitnych zdolności swoich nie lekceważył, znał ś. p. ks. Jażdżewski swoje siły i wysoko mierzył. Był czas, że wskazywano na niego wyraźnie, jako na zastępcę ś. p. ks. arcybiskupa Stablewskiego, i gdyby nie to, że niejednokrotnie wystąpieniem swoim przeciwko ciemnościom i krzywdzicielom, zachwiał swoje stanowisko posła ugodowego, zdążającego do porozumienia z rządem — byłby nim zapewne został.

Karyerę swoją polityczną rozpoczął wczesnie, wybrany bowiem posłem do sejmu i do parlamentu w r. 1872, dzierżył oba te mandaty długie lata, a gdy mu odebrano mandat do parlamentu, pozostał posłem sejmowym do ostatniej chwili życia.

Od dwu lat ś. p. ks. prałat Jażdżewski sprawował urząd prezesa Koła Polskiego po ustąpieniu zmarłego przed kilku miesiącami ś. p. Henryka Szumana.

Doskonale w stylu, mocne w wyrazie, nacechowane niezwykłą swadą, były jego mowy, których tyle wygłosił przez długi okres walk parlamentarnych (1872 — 1911) występując i przeciw wszelkiego rodzaju „ustawom wyjątkowym”, których w państwie bojaźni Bożej w ostatnich latach było tyle...

Był wierny sobie i swoim przekonaniom, gorąco kochał swój kraj i bronił go, jak umiał najlepiej, to też choć miał wielu przeciwników — nad otwartym grobem tego sędziwego bojownika stanęli, by mu złożyć hold ostatni, wszyscy bez różnicy stanowiska posłowie parlamentarzyści.

Zmarł ś. p. ks. Jażdżewski w chwili, gdy jeszcze nie przebrzmiały w sali sejmowej echa ostatniej jego mowy, będącej uroczystym, gwałtownym protestem przeciwko nadużyciom i przemocy pruskiej.

Cześć pamięci walecznego szermierza!

### Ś. p. Władysław Czachórki.

Malarz główek niewieścich, rysownik sumienny, talent tęgi, ale wtłoczony od wczesnej młodości w ramy szablonu, dobrze płatnego i chętnych znajdującego nabywców.

Gdyby nie to właśnie, będącego kłutwą wielu naszych talentów twórczych, łatwe i pokup mające „malowanie” byłby może ś. p. Czachórski zostawił po sobie trwałe w dziejach sztuki wspomnienie, jako artysta większej miary.

Nie da się bowiem zaprzeczyć, że był to majster tęgi, w całym znaczeniu tego wyrazu, pracownik niestrudzony w gorliwości, uparty i konsekwentny, dążący stale jedną, raz obraną drogą.

Jego obrazom zimnym i martwym brakło prawie zawsze duszy, ale natomiast był w nich wielki umiar artystyczny w dobieraniu barw, wiedza malarska, duża kultura artystyczna, forma bez zarzutu, obok ubóstwa pomysłu.

Dlatego właśnie dzieła jego poszukiwane były i nabywane chętnie, przez tych wszystkich, co sztukę malarską traktują, jako przyjemny dodatek do wygodnego życia, obraz piękny, barwny mają sobie za punkt honoru powiesić w swoim salonie, o ile utwór artysty harmonizuje z otoczeniem tego salonu.

Wybitny, bądź co bądź, fachowiec — ś. p. Czachórski umiał malować takie właśnie obrazy, skończone pod względem formy i nie grzeszące żadną krzywą inwencją.

Urodzony w r. 1850 w Lublinie, ś. p. Czachórski pochodził z rodziny ziemiańskiej; był uczniem Hadziewiczza i Pilotiego i laureatem wielu wystaw zagranicą, gdzie wywalczył sobie wielkie uznanie, szczególnie jako malarz pięknych kobiet na tle wytwornego otoczenia, w którym to rodzaju był prawdziwym mistrzem. Zmarł prawie niespodzianie w dn. 13 stycznia 1911 r. w chwili, gdy cieszył się, że „po dniach wielkiego smutku ożył znowu, dorwawszy się do pięknej natury” w samotności i odosobnieniu przeżywszy zaledwie lat 60.

Dla malarstwa naszego jest to, bądź co bądź, strata duża — był to bowiem jeden z tych artystów, którzy imię polskie rozstawili daleko i szeroko po za granicami kraju.

## Ś. p. Stanisław Kuczborski.

Śmierć kosi...

Prawie jednocześnie w kilka dni zaledwie po zgonie twórcy „Hamleta i aktorów” zmarł w Warszawie niespodziewanie, skutkiem zacczadzenia gazem, młody, rokujący duże nadzieje, artysta-malarz ś. p. Stanisław Kuczborski.

Rysownik niepospolity, artysta indywidualny, karykaturzysta *pure sang*, ś. p. Kuczborski urodził się w Warszawie w 1881 r., kształcił zaś tu i w Krakowie, skąd też nadsyłał swoje prace na tutejsze wystawy.

Najgłośniejszy z nich: „Pogrzeb” — obraz bardzo smutny i bardzo odczuty — przyznane mu zostało premium.

Z Krakowa udał się do Francji skąd wysyłał dobrze malowane „widoki morskie” i „typy paryskie”. Szkoda młodego i przedwcześnie zga onego życia!

T. K — c.

□□□□□□□□

## Z listów do „Bluszezu”.

*Kraków w styczniu*

Kraków wzrasta, rozszerza się, buduje bez przerwy, zimą, wznosi kamienice bardziej wysokie, niż ładne, za niektórymi wyjątkami, kamienice te zaradzą może wkrótce brakowi mieszkań i zniżą ceny, a przynajmniej zapoznają mieszkańców z elektrycznością, łazienką, oczyszczaniem schodów z błota i śmiecia i tym podobnymi wymysłami cywilizacji.

Wesoły „Zielony Balonik”, znany kabalet artystyczny wystąpił w tym roku z publicznym przedstawieniem swojej „szopki”. Przedstawienie cieszyło się wielkiem powodzeniem i ma być powtórzone. Artysta-rzeźbiarz Jan Szczepkowski stworzył szereg doskonale pochwycanych postaci z artystycznego, literackiego i politycznego świata Krakowa. Pp. Trzciniński, Noskowski i znany twórca piosenek Zielonego Balonika — Boy (Żeleński) opatrzyli „szopkę” w odpowiedni tekst, muzykę i wykonanie. W trzech aktach rozgrywa się kronika krakowska ubiegłego roku. Więc dyrektor Fałat i sprawa reorganizacji Akademii Sztuk Pięknych, Stanisław Tarnowski, Manga (F. Jasiński), W. Feldman, Bandrowski jako Lohengrin, Solski jako Fryderyk wielki, prof. Mycielski, sufrażystki, studenci i t. p.

Solski zbiera laury w teatrze jako Paweł — Mereżkowskiego. Sztukę doskonale wyreżyserowaną, w pięknej wystawie dawano kilkanaście razy przy szczelnie zapełnionym teatrze. Po wyjeździe Solskiej, rolę jej objęła z powodzeniem Nuna Młodziejowska — Szczurkiewiczowa znana założycielka i dyrektorka teatru Wileńskiego.

Mieszkaństwo Krakowskie otrzyma wkrótce wspaniałą budynek, jeden z piękniejszych w Krakowie mianowicie przy ulicy Zyblikiewicza stanie nowy gmach izby rękodzielniczej. W gmachu tym będzie się mieścić Bank, miejska kasa chorych, sklep z materiałami rękodzielniczymi, sale posiedzeń, kancelarya, klub mieszczański, sale zabaw, mieszkania czynszowe. Budynek ten zjednoczy więc całe życie rękodzielnicze.

Powstał tu związek pomocy dla więźniów politycznych, w celach pomocy materialnej ulżenia doli więźniom politycznym bez różnicy przynależności do jakiegobądź partii. Związek ma za pośrednictwem władz więziennych przysyłać więźniom środki pieniężne oraz książki treści naukowej i beletrystycznej.

Nietylko wśród młodzieży przeróżnych odłamów, lecz wśród wszelkich sfer Krakowa nie mile wrażenie wywołała uchwała senatu akademickiego w sprawie demonstracji młodzieży postępowej przeciw wykładom ks. Zimmermana.

Znając doorze nastroj panujący wśród części słuchaczy uniwersytetu po wystąpieniu przeciw nabożeństwu w rocznicę Grunwaldu i żądaniach usunięcia z uniwersytetu wydziału teologicznego, senat popełnił omyłkę, gdy na żądania młodzieży ustanowienia katedry socjologii, wykładom ks. Zimmermana o duchu społecznym w Wielkopolsce nadał tytuł — „socjologii chrześcijańskiej”.

Burda, którą w odpowiedź zorganizowała młodzież postępową nie zyskała nigdzie uznania, nie trzeba chyba powtarzać. Młodzież cisnąca się do uniwersytetu z przeróżnych sfer z panującym dziś hasłem „równości”, co nie dąży do wznoszenia nizin, lecz zniwelowania wszystkiego, co wyższe, wnosi w mury Collegium Jagiellońskiego nie znające granic rozpasanie tej równości, ostrą brutalność, brak poszanowania własnej godności, a więc i cudzych przekonań, brak poważnego traktowania kwestii wzniosłych. Smutne to nad wyraz, i wiedzie ku podobnym sprawom, jak wyżej wspomniana. We Lwowie mamy burdy rusińskie, dla równowagi stwarzamy w Krakowie własne niezgody.

Niemniej jednak postawa senatu oddającego sprawę w ręce prokuratury przykro zdumiewa całe społeczeństwo. Niemila jest wieść ostatnia, iż po niedozwolonym wiecu młodzieży postępowej senat powziął uchwałę relegującą dwustu z uczniów uniwersytetu.

Młodzież uchwaliła odnieść się do innych uniwersytetów z wezwaniem urzędzenia wieców protestujących przeciw uchwale Senatu.

Sfery bawiące się zajęte całkowicie sprawą publicznych i prywatnych zabaw. Przepowiednie wspaniałe, zjazd olbrzymi. Pałac pod Baranami otwiera dawno zamknięte podwoje dla występów córek Andrzeja Potockiego. Wspomina się mnóstwo donośnie brzmiących nazwisk. Córki arcyksięcia Karola Stefana z Żywca mają brać udział w krakowskim karnawale. Byle młodzież dopisała.

Prasa urządza 5 lutego ciesząc się zawsze powodzeniem Redutę..

W świecie artystów, malarzy i rzeźbiarzy oddawna krążyła myśl, połączenia sił dla obrony wspólnych interesów. Myśl tę wprowadził w życie wiec artystów, odbyty przed kilku dniami, na którym postanowiono założyć Towarzystwo samopomocy artystów. Towarzystwo to, powstałe niegdyś za inicjatywą Matejki trwało do 1894 roku i reprezentowało interesy artystów wobec Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych. Stosunek artystów do Tow. Przyjaciół zmienił się od wielu lat na gorsze. Towarzystwo zakupujące niegdyś obrazy na sumę do 40,000 koron, zakupiło w 1909 r. na niecałe 10,000 Trudności w dostaniu się do dyrekcji na członków zwyczajnych i t. p. powodują od dawna sze-

reg zarzutów stawianych przez artystów Towarzystwu, które ich pracą istnieje. Dla usunięcia tych nieporozumień i pomocy ciężkim nieraz sprawom interesów artystów postanowiono wskrzsić dawne Tow. samopomocy. Po wielu dyskusjach wybrano komitet dla ułożenia statutu i wydania odezwy, do artystów w celu przystępowania do Towarzystwa.

Od niedawna zjawily się w sprzedaży artystyczne pocztówki pomysłu St. Eliasza Radzikowskiego. Artysta w śmiały i oryginalny sposób umieścił ciemną sylwetkę wśród barw. Bogactwo pomysłów ornamentyki i nastroju tworzy z tych kilkudziesięciu pocztówek prawdziwie artystyczną kolekcję. Sylwetka kobieca o rozwianych złotych włosach ma przedstawiać jedną ze znanych artystek teatru krakowskiego.

St. Szadurska.

□□□□□□□□

## Z Ameryki.

Sprawozdanie z obchodu na cześć Maryi Konopnickiej.

W końcu roku z. „Związek Polek” święcił podniosłą uroczystość żałobną ku czci swej honorowej członkini, M. Konopnickiej. Rano uroczystość rozpoczęto mszą św. żałobną w kościele św. Trójcy, odprawioną przez Wiel. ks. K. Sztuczko, w asystencji kilku księży i w obecności członkiń „Związku Polek”.

Wieczorem obchód odbył się w pięknie udekorowanej hali św. Stanisława, wypełnionej po brzegi publicznością. Obchód otworzyła p. Leokadya Kadow, założycielka gr. 24 Zw. Pol. imienia M. Konopnickiej. Po krótkiej przemowie, streszczającej znaczenie obchodu, powołała na przewodniczącą p. Annę Neumann, a na sekretarkę niżej podpisaną. Przewodnicząca Zw. Pol. p. Anna Neumann powołała na estradę mówców i mówczynię, przewodniczącą obecną na sali gr. 24 Zw. Pol. oraz prezesa Zw. Nar. Pol. p. M. Stęczyńskiego, który, pomimo swej wielkiej postawy, tak zręcznie ukrył się na galerii, że dopiero później został przez nas spostrzeżony.

Pod imponującym wrażeniem chwili, drżącym ze wzruszenia głosem, p. Neumann przemówiła serdecznie do publiczności, zachęcając do wysłuchania w skupieniu ducha bogatego programu ku uczczeniu niedawno zgasłej wielkiej pieśniarki i bojowniczkii o prawa ludu.

1.) Chór Św. Stanisława, pod dyrekcją p. Andrzeja Kwasigrocha, wykonał piękną kantatę, na cześć M. Konopnickiej ułożoną. Słowa do tej kantaty ułożył p. Szczęsny Zahajkiewicz. Przytaczamy ją poniżej:

Gwiazdeczce na polskim niebie,  
Co świeciła blaskiem zórz,  
Koronę naród dziś spleta  
Z białych lilii, z polnych róż.  
Cześć pieśniarce tej lechickiej!  
Dała Polsce serce, trud...  
Sława Maryi Konopnickiej,  
Że kochała biedny lud!  
Cześć księżnej poetek polskich,  
Która z kwiatów polskich pól  
Plotła pieśni wieńce złote  
I koła seca ból.

Cześć pieśniarce tej lechickiej!  
Dała Polsce serce trud...  
Sława Maryi Konopnickiej,  
Że kochała polski lud!

2.) Odczyt wygłosiła redaktorka „Głosu Polek” p. Laudynowa. Ta artystka słowa dała nam całokształt pracy literackiej i społecznej M. Konopnickiej, cytując przytem wyjątki z przepięknych jej poezji, Praca p. L. była nader wyczerpująca i kompletna, opracowana stylowo tak pięknie, że słuchało jej się z entuzjazmem i wielką korzyścią.

3.) Mowa Wb. ks. Sztuczko była kulminacyjnym punktem obchodu. Z głęboką znajomością pracy literackiej i społecznej M. Konopnickiej zapytuje Sz. mówca czemu ona na taki hold i wdzięczność zasłużyła? Czy za te przedziwne piękne śpiewy naród ją tak umiłował? Na cześć i hold narodu zasłużyła M. Konopnicka, bowiem nie tylko literatką i pieśniarką była. Była ona wielką działaczką społeczną w narodzie, a działalność jej zwrócona była w kierunku istot wyzyskiwanych i prześladowanych, t. j. naszych wieśniaków i robotników fabrycznych.

To pole pracy, ta kraina — w którą się zapuściła nasza pieśniarka — przedstawia widok smutny. Szara, bez powabu — a żyją tam ludzie biedni i uciemiężeni. Na tej odkrytej przez siebie ubogiej roli naszych wieśniaków i robotników pracowała ona długo jedna, prosiła i wzywała do pracy wspólnej, lecz nawoływania jej skutku nie odnosiły, bowiem między Polską szlachecką, a Polską ludową, przełom był wielki. Ubolewała w pieśniach swych, że taka przepaść „braci dzieli” i starała się tę przepaść uprzedzenia wyrównać i zło usunąć — Polskę szlachecką zbliżyć do ludu.

(d. c. n.)

□□□□□□□□

## Gimnastyka rytmiczna Dalcroze'a.

Powiedzieć o dziele p. Dalcroze'a, że jest pożyteczne, ładne, byłoby to określić je niedokładnie i blade: dzieło jego jest znakomite, a złożyło się na nie, obok nauki, prawdziwe poczucie piękna.

Ma ono za cel, by strona fizyczna człowieka nie była mu w pracy ducha przeszkodą, lecz owszem odpowiednio wyrobiona, pracę duszy i umysłu ułatwiała. Aby nawet, gdy czło-

wiek upadnie, umiał „energicznie wstać i iść dalej we właściwym tempie”. (Słowa p. Dalcroze'a).

Jakiś uczony powiedział, że chcąc stłumić gniew, trzeba chwilę szczerze się postarać o wywołanie uśmiechu na usta, a dobroć i łagodność do duszy przenikną. Nie wiem, czy i p. Dalcroze aż taki wpływ stronie fizycznej przypisuje, ale niema wątpliwości, że zdrowie, zmysł estetyczny, śpiew, są to ważne czynniki w wychowaniu.

Niejednemu z wychowawców zdarzyło się zapewne, że jakaś rzecz bardzo prosta, jak np. systematyczne używanie wody, sprawiła, że dziecko stało się żywsze, czynniejsze i że te same lekcje prędzej odrabiać zaczęło. Taki też bywa skutek dobrze zastosowanej gimnastyki. Najlepszy bezwątpienia wynik wychowania fizycznego jest, gdy przez rozwinięcie i wzmocnienie organizmu, dziecko staje się mniej na choroby wrażliwe.

Przed kilku laty słyszałam solfeggia p. Dalcroze'a na lekcji w konserwatorium genewskim; z przyjemnością dowiedziałam się, że one weszły w skład gimnastyki. I słyszeliśmy je w Filharmonii, mile dla ucha, prześliczne.

Wspomnę tu o tem, o czem pisałam niegdyś w „Szkole Polskiej”, a mianowicie, że w genewskich szkołach t. zw. *primaires* zaimponowały mi wiadomości muzyczne dzieci. Jak się bierze książkę do ręki, by czytać, tak brało dziecko nutę i śpiewało bez fortepianu ułożone dla dzieci solfeggia i melodye.

Na zapytanie, jak robią dzieci, które nie mają słuchu, odpowiedziano mi, że choć te śpiewakami nie będą, nie zdarza się prawie, by się nie nauczyły rozróżniać nut i rozmiaru taktu.

Przypomnijmy sobie „Na pokładzie” Żeromskiego, — opis wrażenia, jakie robi śpiew dzieci szwajcarskich.

Niech specjaliści orzekną, od czego naukę muzyki zaczynać należy, i obyśmy się doczekali, by dzieci nasze, najbiedniejsze nawet, nie wydobywały dzikich dźwięków z przygodnych instrumentów, lecz umiały śpiewać i śpiewały. Niejedną zabawę śpiew urozmaici i ożywi i w duszach tu i owdzie jasne światelko zapali.

Z parorazowej bytności na lekcjach gimnastyki p. Dalcroze'a w Genewie nie umiałam zdać sobie sprawy z całości. Widziałam fragmenty bardzo ładne, pamiętam, jak z lekkością, pewnością i wdziękiem uczennice wchodziły na schody i schodziły ze schodów, z ręką, podniesioną wyżej głowy, naśladując przytry-

mywanie dzbana, na głowie niesionego. Natomiast patrząc na inne wprawy, miałam pewne wątpliwości, czy może dziewczynki te nie nabiorą ruchów przesadzonych, teatralnych, co miałoby na duchową stronę wpływ tylko ujemny.

Przypuszczenie moje okazało się mylne. Profesor widocznie szlifował te ruchy, aż jego poczucie miary artystycznej zadowolone zostało, — i widzieliśmy owo śliczne zbieranie kwiatów na łące.

Wytworność ruchów, jak zresztą wszystkiego, wtedy tylko być może, jeśli jest naturalność, prostota. „Prawda i tylko prawda piękną być może”, powiedział Mickiewicz.

Czy u nas gimnastyka rytmiczna przyjmie się? Pierwszą trudnością będzie brak wykwalifikowanych nauczycielek i nauczycieli polaków.

Czcigodny nasz Prus chce, żeby młodzież w przemyśle, jeździła po naukę zagranicę, — należy też pragnąć, aby odpowiednio uzdolnione jednostki udawały się do p. Dalcroze'a uczyć się gimnastyki rytmicznej, bo nam jest ona bardziej, niż komu bądź potrzebna.

Nie zdaje mi się, byśmy pod względem rytmu upośledzeni byli, a myślę, że gdyby sam p. Dalcroze żył naszym życiem, to jego dzieło kosztowałoby go o wiele więcej pracy i zdrowia: wciąż by mu rytm uciekał. Sądzę tylko, że najbardziej gimnastyki tej potrzebujemy dlatego, że żaden naród nie jest w takich ciężkich warunkach, w jakich my jesteśmy, i nigdzie tyle sił nie idzie na marne, — nie powinniśmy więc niczego pomijać, coby siły polskiej młodzieży rozwinęło i wzmocniło.

Z.

### Treść numeru:

W Przyszłość, przez M. Cz. Przeworską. — Powieść o fałszywym rublu, przez Jana Lemańskiego. — Święty Fen, przez M. Wierzińskiego. — Międzynarodowy Kongres higieny szkolnej w Paryżu, przez Dr. med. J. Budzińską-Tylicką. — Wspomnienie, przez Bolesława Leśmiana. — Ze wspomnień mojej matki, przez J. Okszę. — Z literatury, „Zakazana muzyka”, przez Eug. Żmijewską. — „Sfinks”, przez Gustawa Olechowskiego. — Z założonej karty — ś. p. Mieczysław Brzeziński, ks. Ludwik Jażdżewski, Władysław Czachórski, Stanisław Kuczborski, przez T. K—ca. — Z listów do „Bluszczy”, przez St. Szadurską. — Sprawozdanie z obchodu na cześć Maryi Konopnickiej. — Gimnastyka rytmiczna Dalcroze'a, przez Z.

Do niniejszego numeru dołącza się:

- 1) Opis robót z rycinami; odpowiedzi p. Marcèle.
- 2) Arkusz 5-ty powieści „Anna Weronika” H. G. Wellsa.

Odznaczona Medalem Złotym  
**Pracownia Gorsetów**

**Maryi Barszczewskiej**

plac św. Aleksandra 14. Tel. 40-73 wprost stacji tramwajowej. Poleca od skromnych do najwykwintniejszych

**Sarg'a KALODONT**  
Niezbędny KREM i ELIKSIR do ZĘBÓW  
Utrzymuje zęby biało, czysto i zdrowo.  
Zadać wszędzie

**Z. Fijałkowski**  
Senatorska 26, wprost kościoła, tel. 33-32, egzystuje od 1878 r.  
Mieszkanie przy sklepie.

Sprzedaję tanio aby sprzedać dużo!  
Towary perfumeryjne kosmetyczne  
Marszałkowska № 139.  
Sklep w podwórzu  
**W. Askanas.**

**Adama Szymańskiego**  
(autora Szkieł)  
**AKSINJA**  
Opowiadanie z życia moskiewskiej Lech  
Cena 80 k. u Gebethnera i Wolffa.

**Borol**  
na porę zimową uznano za najlepszy ze środków chroniących skórę rąk i twarzy od opierzchania  
278 chania

Znane ze swej dobroci mydła Sosnowe, świerkowe, jodłowe, fioletowe oraz inne toaletowe  
**H. Kielhausera w Graz**  
można dostać w pierwszorzędnym składach perfumeryjnych i aptekach. Reprezentant: **G. Ehlert**, Senatorska № 19.

